

Nie jest gotowy



BOŻENA KEFF

Nie jest gotowy

Razem, osobno

Wieczór Ewy Patło

Ewa Patło wychodzi z pracy o piętnastej trzydzieści,

w ulicze

mija starszego pana, który

w ceratowej torbie

niesie psa z siwą mordą.

Ewa wchodzi na rondo

staje jak na obrotowej scenie

między mijającymi tramwajami i autobusami,

przechodzącymi ludźmi

Zaraz po zachodzie słońca

szosą osiemset osiem mknie

John Best. Jego

czterdziestocylindrowy srebrzysty Sakwojaż

z elektronicznym wtryskiem paliwa

jest wymoszczony szczelnie jak unoszące się gniazdo

muzyką płynącą z ośmiu głośników. John

włącza telewizor i zerkając na ekran widzi:

Abelokain, leżąc w wysokiej trawie,

zagłusza dogłębne poczucie rozdwojenia

rozkoszując się odzyskanym Rajem

nad którym

nie powiewa żadna, żadna flaga.

Tymczasem

Ewa Patło wychodzi z konferencji prasowej

(za nią jej genialny agent

z psem w ceratowej torbie). Dała tam

do zrozumienia

że jest fundatorką i pierwszą wyznawczynią

nowej religioideofilozofii:

Wsiem! Wsiem! Wsiem! Przynajmniej

na dziesięć lat. Agent i jego pies

udaremniają kilkaset zamachów na jej życie.

Wywożą ją na Antarktydę, ale wrogowie

zdalnie podłączają do lodów grzejnik. Z potopu

ratuje ją John Best, jak zawsze nonszalancki
i bezdennie smutny.

Tego wieczoru
zamknęli się w ciasnej odrapanej łazience jakiegoś

mieszkania.

Słuchaj, prosi Ewa Patło, moglibyśmy żyć inaczej,
nie dać się! Ja
już się dałem, odpowiada jej przyjaciel
niedoszły kochanek
zwany dotąd Johnem Best.
Kiedy Ewa Patło weszła do jego mieszkania
(rzadko zamieszkiwanego) znalazła go
zwiniętego na materacu. Spodnie i sweter
na podłodze, poduszka
ciśnięta w kąt. On klęcząc opiera głowę o podłogę

o ścianę

— nie może.

Wycie karetki, nad którą krąży zimne pozaplanetarne

światło

drzwi z pleksiglasu, szybka windy, okno
sali szpitalnej
coraz wyżej zachodzą
samotnością.
Od kilku lat nie żyje
i coraz rzadziej Ewa Patło daje mu zajęcia, miesza go
w zdarzenia
które trwają
lub które projektuje. Cóż, nie są już rówieśnikami.
Ostatnio
śnił się jej jako spojrzenie w oczy:
były niebieskie, bez wymiaru,
rozjaśniały się od napływającego światła
aż zostało samo światło, sama dławiąca
unosząca
miłość.

Późnym popołudniem, w domu
słuchając muzyki
wyciąga flamastry i papier. Robi rysunki bez planu
wedle tego, co wypadnie.
Na pierwszym:
mała Ewa Patło siedzi na krześle przed lustrem. Matka
czesząc ją rzeźbę:
*O dziecko, jakże jesteś
podobne do wszystkiego,
lecz najbardziej
do babki ojca twego.*

Na drugim:
olbrzymia Ewa Patło
w kolorach jak pięścią w zęby. Demon
siedzący na nosku jej buta
patrząc w górę widzi
dwa wzgórze piersi, podbródek i rozwiane włosy. Ewa

pali cygaro

i strząsając popiół w morze, powiada:
Jest we mnie o wiele więcej Ewy Patło

*niż czegokolwiek, co istnieje
i ciągle więcej możliwości
niż Ewy Patło.*

Na trzecim:

na scenie połyskującej jak niebieski płomień spirytusu
Ewa, dziewczeczka w białej sukni, którą targa wiatr
szepcze do swego dziecięcego buta:

*Nigdzie; w całym wszechświecie
nie ma*

drugiej Ewy Patło ani nic podobnego.

*Co za osamotnienie! Nikt mnie nie poprzedza
i nikt nie jest w stanie przedłużyć. Co począć?*

— Począć dziecię —

szepcze babka jej ojca, siedząca
na widowni.

Na czwartym:

Ewa Patło, sama i dorosła, usiłuje włożyć
sвій dziecięcy bucik, który powiada:

O, bez przesady, jesteśmy

do wszystkiego podobni, do niczego

nie jesteśmy podobni. Ta równowaga/ trzyma się na skrajnościach.

O ósmej ja przychodzę do Ewy Patło. Tego wieczoru
wydaje mi się, że jest taka

substancjalna, zawierająca się w sobie, że
przylega do życia szczelnie, bo spaja ją z nim
ta właśnie warstwa fikcji, w której żyje.

— Mnie? Z życiem?! — mówi Ewa Patło, a ja
przymierzam jej sukienki, swetry i buty
ale zwłaszcza buty są
w szczególny sposób
nie moje.

Leżąc w łóżku

Ewa Patło widzi za oknem

zielony biegający neon i pasek nieba

jest w tym coś z ozdobnej kraty więzienia, czując ją
chciałoby się spakować walizki i ruszyć. I chciałaby

w obronie swojej słabości

użyć całej ludzkiej siły. I nie wie, co robić

żeby naprawdę dotknąć swego życia,

być i poznawać. Można by też,

myśli,

wyruszyć w tę praktyczniejszą

bo niedotykalną, podobno pełną i szczęśliwą przestrzeń
gdzie nic nie jest rzeczą;

ale jaka w końcu możliwość odwróci od niej

to, że jest jedna, osobna, jednokrotna —

tylko to jedno: jednokrotna

jest przedziwne i wymaga odwagi, skupienia, pomocy;

och, pomyślała

nagle siadając na łóżku, co ze mną będzie!

Ktoś mógłby wiedzieć

choćby tyle, że tego wieczoru

miała na sobie ciemnoróżowy sweter. Ja to wiedziałam.

1974

Miejsce do przesuwania

Tę planetę opuściła jej własna
lub włożona w nią
spoistość. Oko
patrzące z dołu dzieli. Oko
patrzące z góry
zamknięte teraz. W powiece
odbija się wszystko zmienne i reszta. Także ten człowiek
siedzący na ulicy, tyłem do świata, zanurzony w gazecie;
w powietrzu
tłuczone szkło, muszelki, drób pieczony, miał
przedmiotów i zwierząt, papiery —
dlaczego nie dlaczego tak. Łza
nie nadpływa,
jej drobnokościste pokrewieństwo z ziemskim czasem
zostało zawieszona.

Coraz częściej
przychodzi do ciebie ktoś
kto już nic — nienawidzić ani kochać. Kto
otwiera sobie
czerwoną, ostrą podróż bez ziemi
do ziemi. Wytłumacz sobie, że to ciągną
przejściowa historia. Bywa, że spoistość
wraca do planety, odmyka się
oko patrzące z góry i wierzysz
że płynie blask. Wisi łza
która nadpływa wypełnić miejsce łzy
ale
nie spływa

1974

Zanim to złączysz

Ręka prowadzi kancelarię,
usta — towary spożywcze i poligon,
brew, kiedy o niej myślę, otwarta
jak słowo *to*;
tego dnia o świcie brew, ręka i usta
idą po pasie startowym. Nad nimi
puste lekkie białko i ukryte planety. Dobiega
warczenie silników. Na tym bezludziu
brew zakłada uniwersalny dom towarowy. Przestronne
sale
poszerzane szumem wentylatorów, wąskie czerwone
korytarze, fioletowe
owalne przymierzalnie. Reka przyjmuje
damskie i męskie monety

do zapłacenia toalety

Na długo
przed końcem pierwszych zakupów
transportery
otaczają dom towarowy. Jak na tysiącach taśm filmowych
sylwetki zeskakujących z samochodów. Wojska
zajmują pozycje w ciszy
gorączka pruje powietrze. Usta
wydają komendę. Wybuchają pierwsze pociski
i pierwsza całość:

ranny

porzucony przy szosie.

Na chwile jakby wepchnięty do aparatu Roentgena,

składany

z ciężkich, przejrzystych klisz. Planety
poza zasięgiem, ale on
może ich dotknąć. Miłość.
Odwraca się na brzuch, czołem czuje
gorący, topiący się asfalt, pod którym musuje szumi

niebo tamtej strony.

Szklanka stojąca na stole
traci równowagę,
leci, roztrzaskuje się; wzbija się i opada woda.
Otwiera oczy, unosi głowę — zanim zobaczy to, co

dookoła

całość ulatując
wita go żegna go operowym wysokim sopranem:
O, nie

nie dostaniesz mnie

nie!

1975

Snajper

(POEMAT BEZ DEDYKACJI)

I.

Rano twoje mieszkanie jest gładkie i przewiane na wylot
jak trupia czaszka. Okna bez zasłon, białe ściany, czarne

kaloryfery

na skrzynce od mleka nóż —
jego czubek drażni suche powietrze. Miasto
jest agresywne i bezwładne. Tłok w autobusach,

na ulicach

pustawo. Kawiarnie, kina, teatry

o tej porze

wykluczone. Fabryki

nadal

chcą jednej setnej tego, czym jesteśmy

i prawie wszystkich sił.

Kiedy wychodzisz do pracy, jest szarawa. Stoisz chwilę

przed lustrem

jako oficer c. k. armii: trochę tej śmierciopodobnej ironii,
dystans, a jednak, co tu gadać: guziki, szabla, czako
za którym stoi cesarstwo! I te oczy — piękne
w których wszystko
odbija się zrozumiane. Kiedy o tobie myślę
wydaje mi się
że siedzimy oparci o siebie plecami: blisko, rozległe;
patrzemy w przeciwnie strony. Idziesz najdłuższą ulicą miasta;
nad tobą
wampirzy pazur skończoności. Piętrowo
zbudowany świat
który
trzeba trzymać w garści
więc trzymasz
i on też
nie puszcza.

2.

Byliśmy na piwie, ty, ja
i jeszcze kilka osób; w lustrze nad barem
odbijała się zatłoczona ulica (godziny szczytu),
każdy (młody) przechodzień jest możliwością
jak otwarty, nieznany tunel. Pojawia się, jest, znika;
przeczuwam, widzę, tracę — to wszystko działa
jak środek pobudzający. — Do czego? — pyta ta dziewczyna.
— Do czego? — powtarzasz — nie wiem, chciałbym zagrać
Stawrogina. — Kochany — i nachyla się do ciebie trochę —
ty za bardzo musujesz, szczęka kwadratowa, owszem,
ale podgardle Erosa. Będziesz miał to, co ludzie mają;
i wypijesz, ale za swoje,
i czego jej oczy nie widzą, tego sercu nie żal,
i choć lepszy, ale masz gorzej! Sam sobie

wypłacisz

a synka nazwiesz Nicolas!
Z domu zadzwonił do niej.
— Teraz właśnie cię kocham — powiedziała
tak jakoś grzecznie, że miałyby się ochotę
przejsć w twardych butach po szkło, niech pryska,
trzeszczy, pęka. Och, uwyraźnić się, odbić!
Od czego? Od kogo! Poustawiał szachy
żeby zagrać ze sobą
myśląc jednocześnie: nie warto,
nie ma demona, nie ma mocy
z którą można by zagrać o wszystko,
jestem sam.
Sam
samotnie idąc pod górę
osuwającego się lodowca.
Był się ruszało. Wziął proszek od bólu głowy,
zaparzył sobie kawy, włączył radio,
chórek śpiewał:

*Jego rachunki są jakby nie jego
choć się zgadzają
cele które ma na muszce
zostaną strącone*

wypłaci sobie sprawiedliwie
ale niemożliwie
ale niemożliwie.

3.

Kiedyś, opowiadałeś, poszedłeś
odwiedzić dziecko sąsiadki, które
nie jest w porządku z głową. Matka
dziewczynki
czekała na ciebie, czytając w kuchni książkę. Mała
była w brzydkich granatowych spodniach
i szarym sweterku. Przyniosłeś jej
książkę z obrazkami, wzięła ją
i schowała do łóżka, pod kołdrę. Bawiliście się
budując wieżę z klocków. Wspaniale;
jest dzika i bezbronna
jak goły nerw wypuszczony w świat. Pije ciebie,
tonie — ale nie przepada. Żyje w nieukojonym
i bezkarnym strachu, zapada we wszystko
ale zostaje w sobie. Jest doskonała, skończona
na zewnątrz niej
jest dalej ona, a w niej
dalej świat.

— Może pan
zostanie jeszcze? — pyta jej matka, kiedy mała
leży już w łóżku. Stoi w drzwiach kuchni, za nią
odrzucająca, zmartwiła
przestrzeń mieszkania. I tak co wieczór
ciągle,
bez zmiany.

4.

Śniło ci się
że siedzisz na blacie długiego stołu
w jakiejś kuchni
w starej czynszowej kamienicy. Na zewnątrz
i wewnątrz
to samo
ciemne, przynębiające światło. Jest zmierzch,
okno wychodzi na podwórze-studnię. Niżej,
w przeciwległej części domu,
ktoś stary (nie widać: kobieta czy mężczyzna)
siedząc przy parapecie
pije łyżeczką herbatę. Wyżej
niebieskie światło telewizora w pustym ciemnym
pokoju.

Naprzeciw
w drzwiach między kuchnią a nieoświetlonym korytarzem
rozmawiają, oparte o framugi drzwi, starsza kobieta
i młoda Cyganka w różowej połyskującej
spódnicy. Ale za nimi
nie ma korytarza. Widzisz to nagle:
tam nic nie ma. Wszystko jednowymiarowe:
ten dom, podwórze, ludzie.

I czujesz, jakby ktoś obcy, spoza snu
zaznaczył gwoździem to miejsce, w którym jesteś. To ukłucie
przebija tak mocno
że twoje życie
stanęło w tobie, dławiąc.
Z jakimiś zanikającymi strzępkami myśli, obrazów:

matka,

ojciec, ona i tamta, i znajomi, jakiś lęk
jakaś zapomniana satysfakcja —
to wszystko z gorzkim smakiem, w gorączce,

w zdrętwiałym ciele

trzeba się ruszyć spieszyć działać — ale
nie poruszyło cię. Jest źle i czujesz
płytką rozpacz
w której nie sposób się zanurzyć, przebić
stwardniałej powierzchni.
Ani płakać, ani zawyć. I pojmujesz nagle
że to już
wieczność
że to już
po śmierci.

5.

Zabłysnął niebieski ekran telewizora — co widzę?!

Na dachu

wieżowca
pod chłodnym rozpędzonym niebem
leży snajper. Zamknięty
w wewnętrznym kręgu
skupienia i ciszy. W wizjerze
układa się przestrzeń, obraz nachodzi na rzeczy, oddech
uspokaja ciało. Organiczny
karabin Superego Lux jest świetliście bliski,
od czarnej oksydowanej lufy
przez ciemne wnętrze do chłodnej, przylegającej kolby

— i tam

gdzie twój palec leży leciutko zagięty
we wklęśnięciu spustu; wszystko
gotowe. A on
kładzie głowę w zagięciu łokcia, zamyka oczy; lepiej by było teraz
być młodym, umierającym dowódcą:
spieczone wargi, skrwawione bandaże;
otoczony milczeniem żołnierzy, wśród ostatnich strzałów,
rozwiewającego się dymu
szuka spojrzeniem swojego zastępcy, silnego jak byk,
wrażliwego jak nawiedzone dziecko.

— Więc ostatecznie,
czy chcesz — pytam go —
żeby ten fragmentaryczny, być może, poemat
dedykowała tobie?

— Nie —
powiedziałeś — tylko
bez dedykacji.

1975-1980

Blues pod tytułem „Snajper”

Byłam na ostatnim piętrze, ty byłeś na dole, mój
przyjaciel ze mną był,
siedzieliśmy na podłodze, on mi opowiadał sny
Bardzo szczerze było nam.
Ty do windy wchodzisz już.

Ja czytam o kimś, kto słucha, on był w kuchni, robił coś.
Rozmawialiśmy dokładnie, choć się nie rozlegał głos.
Wszystko było jakby szerzej i wysoko, ale tu.
Ty do góry jedziesz już.

On miał długie jasne włosy, a kiedy szedł spać,
to zdejmował okulary i mi do herbaty kładł. — Co widzicie?

— pytam je.

— Łódź podwodna jest na dnie, a teraz podnosi się.
Ty do góry jedziesz już.

Ja na brzegu łóżka siedzę, on na drugim brzegu śpi.
Nie chcę sama być jak pies, czasem strasznie cieszę się.
On mi odpowiada: wiem.
Ty do góry jedziesz już.

On na brzegu łóżka siedzi, ja na drugim brzegu śpię.
Nie chcę sam być tak jak pies, czasem strasznie źle mi jest.
Ja mu odpowiadam: wiem.
Ty do góry jedziesz już.

Ty do góry jedziesz, lecz
raczej nie zastaniesz mnie.
Ostatniego piętra brak,
drżymy, bo coś jest
nie tak.

1973

Domek Dzyń

Kropla
zapełnia przestrzeń.
To samo: podróż i korzeń.
Oddech unosi słowo
i sztuczne jest prawdziwe. I ja tutaj. Cokolwiek zechcę,
mogę:
żyj, umrzyj, zadzwoń!

Dzyń!

1978

Dom spania

Śpię,
mieszkam w sobie. Trzoda
pilnuje się sama,
nie zapomina o mnie. Gdzieś, na zanikającej krawędzi
jakaś idea schodzi szlakiem
trawionej kromki chleba, przebija jeszcze
rytm niedawnej rozmowy, topnieje
resztką strachu w przykurczonym mięśniu. I cokolwiek jest,
jest oddzielone,
ale przenika mnie. Świat się usunął,
ja się usunęłam;
w tej rozrzedzonej, odradzającej przestrzeni
próbuję głosu kielkujący chór.
Nie słyszę go. Śpię,
żyję
swobodnie.

1978

Dom zgodności

Wieczorem,
wracając metrem do pożyczonego mieszkania,
jadąc pod ziemią nieznanego miasta
detronizowałam się
i gdzieś zatracala się moja i tak nieoswojona
historia. Wiśniowa przetarta torebka
kobiety śpiącej na przeciwległej ławeczce, rząd lamp
pod sufitem wagonu, metalowe uchwyty drzwi,
skały za oknem
układały się w spełniony plan świata. Spełniony,
straszny. W mieszkaniu
przejrzałam książki —
niektóre w tutejszym języku, inne
w moim, który też
przestał mnie dotyczyć. Dałam jeść kocicy
i jej pięciu małym. Sześć kotów
jadło cztery ryby. Stojąc pośrodku tej kuchni,
potem w pokoju przy oknie,
patrząc z natężeniem w ciemne podwórze, poczułam
jakiś rozległy niepokój
od tej przestrzeni, którą rozrzedzałam sobą i
żeby ją zgarnąć
umylałam sobie swoje zęby
i ścieląc łóżko podłożyłam sobie pod głowę
swój sweter. Gasząc światło
włączyłam radio. Przy zaciśniętym blasku skali

zasypiałam czujnie pod samą powierzchnią
aż przebiły ją
czarne gigantyczne skały
Rosnące bez końca
w kosmicznej rozszerzającej się z siebie przestrzeni;
patrzyłam gdzieś z dołu
na pasma ciemnogramatowych przestworzy
ciągnące
między szczytami skał. Pancerne, podklejone jakby
migoczącą warstwą
rozmów śpiewu muzyczki
— i strącając kota na podłogę
usiadłam
patrzac, ślepiąc w ten ciemny bóg wie jaki pokój,
w tę dokładną co do milimetra makietę
szaleństwa;
osobności
która doprowadziła do tego
spojrzenia —

1980

Dom pracy twórczej

Tęgo popołudnia
wychodząc z domu do ogrodu
poczułam: widok tej przestrzeni
napina i szarpie mój nerw błędny
jak nylonową żyłkę. Obraz przylega do rzeczy. I nie jest
inaczej. Z kuchni polowej
stojącej przy domu
wzięłam
kawalek chleba. Kucharka, nie przerywając czytania gazety,
nalala w mój kubek herbaty
i jakby wyrównała tą strużką
mój płytki, zmięty oddech. Zza domu dochodził łomot
rzucanych na ziemię
skrzyń z jedzeniem, padały paczki
papierów, banknotów, odzieży. Wyżwirowaną drogą
schodziłam ze wzgórza w dolinę ogrodu
idąc równolegle
z czerwonym stygnącym słońcem. Na dole
w sadzawce
wypełnionej napiętym, ciemnym kwadratem wody,
bez szmeru brodziła para. Kobieta i mężczyzna koło

sześćdziesiątki.

Nad nimi

słonawy opar budowli
wzniesionej
przez jeden
z ataków czasu. Pogryzając chleb
zeszłam na skarpę ogrodu. Na asfaltowej ścieżce
mój znajomy rysował portret

nad nim, jakby upozowana na dachu samochodu,
młoda, uśmiechnięta Rita. Zasnęłam wtedy
rozciągnięta nad sobą jak drętwy uśmiech. Nie ma
wyjść i wściekle nie ma
i ciężko. Niedługo potem
znalazłam to zdjęcie: stoją jak wyłożeni przy drodze
a nikt
nie ma tam dostępu. Jak czasem sama do siebie
kiedy widzę
że życie biegnie tą swobodną,
ostateczną linią losu, kiedy wiem
że jestem — a nie pojmuję jak — i jak
to możliwe. Kiedy wtulona, wbita, wprasowana w coś w kogoś
i tak: tu się zaczynam
tam się kończę.

O, kurnik!

Otchłań! Gombrowicz
oparty tyłkiem o maskę samochodu, w marynarce, w szaliku
z niepokojem czy napięciem w twarzy, jakoś pochylony
do ziemi patrzy
poza granice zdjęcia. W otwartych drzwiach samochodu
Rita ulatuje
oparta łokciami o dach
w jasnej bluzce, uśmiechnięta prosto w obiektyw —

Jasne, cholerny trupie

Jasne, kocham cię,
cholerny trupie — tak mi się powiedziało kiedyś
kiedy wychodziłam z domu, świeża, dzień lekki

i słoneczny,

i skąd to „jasne”? Czy pytał mnie wtedy? Odpowiadam
co jakiś czas, ciągle od 15 lat,
choć nie wiem, jak właściwie miałabym mu wyznawać:
wypluć gumę do żucia, przykleić do obcasa, zsunąć

cowbojski kapelusz

i ciepło, rzeczowo powiedzieć: kocham cię, na początek
mam 20 dolarów; czy dopić truciznę i ciągnąć za sobą

tren ciężkiej

sutej sukni

paść na dywan u jego stóp, łowiąc
ostatni
boski błysk jego eleganckich trzewików;
czy szarpnąć za łokieć w tangu i z przechyłu zionąć

mu w twarz:

chcę pana pragnę pana;
czy skoczyć za nim z mostu i spadając śpiewać:
kocham cię! kocham kocham —

Może był tą połówką, której brak tak boli, może
to nie on i nie ja
a tylko możliwość, trop, pokrewieństwo,
bo i ja i on
niby byliśmy osobno albo razem z innymi, ale każde

samo

z tym pragnieniem despoty, prostaczka, dandysa
mieć niemożliwe, niech koi koniecznością, zmieniać świat
swym spojrzeniem! Dostać ten diament! Więc on
ekspłodował z niepokoju i z poczucia pustki,
choć był szalejącą, rozrastającą się dżunglą,
a ja i dziś myślę: Co? Mam tak stać i wyznawać miłość
i okazywać żal i gubić się w domysłach i snuć refleksje?!

Tak

się poddać, tak się dać wpasować w jakieś opowiadki,
tak — powiedziałabym — zdradzić, choć oboje
woleliśmy *pojęcie* zdrady niż wierności. — O, nie! Niech będzie
że to jakby oddźwięk, nawiedzenie,
niech nie wiem, kto pierwszy uderzy w ten tam-tam
żywa czy trup. Nieważne. Jedna strona hipotezy nie żyje
lub tylko jedna żyje
już nie gadać nie gadać już
kochać

1985

Solo Berkeley (solipsystycznie)

Czekałam na niego
w dolinie kamieniołomu nad morzem. Za mną
białe promieniujące skały, niżej
kamienisty, krzewiasty brzeg — na cały horyzont
słońce i świecąca woda. Nie
nadchodził.

Spacerowałam jak po estradzie: równo, białe, blask
z góry i spod stóp. Sprawdziłam zegarek: chodził. To

cykanie

wydało mi się odcięte od własnej oczywistości. Nie lokowało się
na tym pełnym widoków bezludziu. Jakby
coraz ciaśniejszym. Jakby
zwykły bieg życia
był poza zasięgiem — oplątywała mnie
paniczna, drętwa samotność. Nie widziane
nie widzi. Nie słyszane
głuchnie. Spojrzałam na zbocze — oślepiło mnie.
Nie widzę go — nie istnieje. Zamknęłam oczy:
za moimi plecami jakiś punkt
rozwierał się w gigantyczną otchłań. Odwieczna

wszystkość

wchłaniająca sens, obecność, znaczenie.
Te skały, brzeg, morze — to jej wglądówka dla mnie.

Negatyw.

To, co mi chce pokazać. Serce
roznosiło mnie na kawałki. Otworzyłam oczy. Schodził

zboczem!

Ostrożnie, skupiony, zeskakiwał z ostatnich bloków
na estradkę. Zobaczył mnie, kiwnął ręką. Ja też
kiwnęłam. Jakie świetne stworzenie! Jakie

podobne do mnie: głowa, ręce, nogi. Okulary
przeciwsłoneczne. Ja też mam takie.
Dotknęłam ich. Wszystko
przycichło, jakby tyłem wpełzało
na swoje miejsce. Złapałam oddech
i poszliśmy razem, przed siebie. Ale właściwie
to poszliśmy
przodem —

1984

Solo Berkeley (drugie)

Czekałam w jego mieszkaniu: kuchnia
z balkonowym oknem, uchylone drzwi do pokoju, cień.
Z blatu stołu wzrok zszedł na deski podłogi
i niżej, za okno, na chodnik. Gęste drzewa, ławki.
Na niebie czerwonawe słońce i mgławki, przejrzysty
księżyc.

Zaparzyłam herbaty,
nalałam do szklanki, której nie umył po sobie. Piłam.
Piłam, robiło się ciemno i chłodno. Zamknęłam okno.

Kuchnia

zwarła się: ściany objęły zlew, stół, duży
ciemny kredens. Granatowy prostokąt szyby
odbijał to wszystko
a ja, patrząc w ten zaciemniony, pomniejszony

obraz

nieruchomiałam — żeby go nie mącić. Zatracająca się gdzieś
kopia wnętrza kabiny.

Pojazd rozsypany w przestrzeni.

Pamiątka. Smutna

jak blaszany dźwięk zawieszony nad pustą drogą.

Ciągnące,

straszne pragnienie przywołania kogoś, kto znał
naszą cywilizację, czas, miejsca. Sens. Ach, bliskość,
bliźnię —

W pokoju zapaliłam lampę. Wszystkie rzeczy
pojawiły się nie stykając się ze mną:

— Czy wyrzekacie się jej? — Wyrzekamy. — Człowieku,
opuść te stworzenia —

Włączyłam telewizor i włączyłam

na niepościelony tapczan. I jakbym tkwiła w próżni.

Na ekranie

frunęły

wyniośle zarzucone włosy. Przegięte plecy, szarpnięcie tyłkiem kłaśniecie —

odkopnięte mocno falbany sukni

opadają powoli. Stopy drobno uderzające

w podłogę. Przerwa: napięta i wysoka wieża. Przerwa:

jęk — pchnięcie — jęk —

— *Hiszpańska tancerka* —

powiedziała głośno. Nie zrozumiałam

co mówię. Z Andaluzji — pomyślałam. Z musującą od niepokoju drętwotą

napisałam w myślach: Co ja robię? Co —
zdejmujesz ze świata warstwy
sens, los, ciągłość, ruch; wszystko
do gołej kości
własnej czaszki. Której też nie uwierzysz. Osiągasz
zero wyobraźni. Zamknij
uroczne oczy. Zamknęłam. Naciągnęłam koldrę,
było mi zimno. Wtedy trzasnęły drzwi. Przyszedł.

Złazłam

z tapczanu, otarłam spocone dłonie o spódnicę,
zajrzałam do kuchni: pił swojo-moją herbatę
na stojąco, z torbą w ręku. W szybie odbijała się kabina
kuchni z nim i ze mną, z głębi pokoju

promieniował

obraz tancerki. Odwrócił się i powiedział
coś:

ratuj

albo

ratunek.

Nosferatu, wampir

Wracałam do domu w nocy. Ciągle pod górę
starym, rozmytym wąwozem
między dwoma lasami. Nagle ściemniało. Chmury
sięgnęły ziemi, szarpnął wiatr. Z pierwszą błyskawicą
uderzyła mnie
głęboka, dziecięca trwoga. I zaraz
zobaczyłam światło: żółto-mdlawe. W najwyższym

oknie domu

który musi stać za najbliższymi drzewami. I jakby
z tym światłem szło spojrzenie. Więc jest —
więc jesteśmy!

Szarpnęłam drzwiami. Na dole
nikogo. Weszłam
ciemnymi schodami na górę: oparty plecami o okno
stał on — Nosferatu, wampir. Ta właśnie twarz

kredowa

jakby przerżnięta blizną — ale gładka.
W ogromnym pokoju
stół i dwa krzesła. Płonął ogień. I ta oczywiście:

aureola

koronująca
czas, miejsce, osoby.
— *Przyszłam* — powiedziałam — *tą drogą*
która miała prowadzić —
— *Witaj w naszym domostwie* — przerwał
i jakby się uśmiechnął.
— *W domostwie?* — powtórzyłam nie słysząc się
zatopiona w tych sinych oczodołach, gładkiej czaszce
ach, te ruchy kanciastopłynne
jakby nie miały prawa stykać się
z ruchem czy nieruchomością rzeczy
a jednak stykają się i działają. Przysunął

kieliszki, białe wino,
talerzyk malin.
Siadłam
naprzeciw niego.
— *Od dziecięcego osamotnienia* —
powiedziałam patrząc w niego — *przechodzi się
do neurozy wieczności. To znaczy: żeby żyć
bezpiecznie
trzeba gwarantować sobie
sobą
wszystko.*
Klatka z pustych białych ścian. Czarne
okno. Tylko on
przede mną.
— *Tak* — powiedział — *to podobne. Podobne.*
*Pić krew ludzi, zdarzeń, rzeczy
i nie moc ożyć. Pić
żeby nie być upiorem. Pułapka* — krzyknął cicho —

pomyłka!

I nagle
zobaczyliśmy się
jak wyłączeni, wycięci ze świata. I moje
i jego spojrzenie
przyniosły ze sobą wszystko, co miały
i porzuciły wszystko. Objęły się. Niemożliwe: zdawało mi się
że w moich oczach widzi swoje odbicie. Och, rozwalić
tę samonapędzającą się udrękę. Wyzwolić.
Przetarłam oczy. Westchnął. Siedzieliśmy
naprzeciwko siebie. Zjadłam malinę. Drugą
obracałam w palcach.
— *Ja też* — zaczęłam
jakimś grzęznącym szeptem — *jakbym piła życie
przez innych. Od siebie
przez nich
do siebie, to mi daje moją obecność. Ale ja* —

samodzielnie

*czy może samotnie — zostaję samotnie i
zanikam... rozpadam... — i jakoś zupełnie
schryplam. Było mi zimno. Odwrócił
głowę. Nad sztywnym, czarnym kołnierzykiem
czaszka z napiętą skórą. Niespodziewanie
wyciągnął rękę:
otwarte sine palce z pazurami. Była
twarda, lekka. Niech będzie jak jest —
i ścisnęłam ją. Położył głowę
na stole
obok naszych rąk. Och, pomyślałam, dość, każde z nas
wyje do tego, czym nie jest, czego
nie zaznało. Tkwię w życiu
jak w ciągu przypadków, pożądając
tylko konieczności. Zawsze obecnej
i zawsze nieosiągalnej. Tak się tłuc
jak on
w tej klekoczącej blaszance wieczności? I z całej siły
ścisnęłam jego rękę.
— *Wyrzekam się* — powiedział. Jego ręka w mojej*

zrobiła się cięższa, cieplejsza,
pazury znikaly. Wypełnione ciało
wolno
zsunęło się w moją stronę
na blat! Zerwałam się
przewracając talerz. Leżał do połowy na stole;
bezwładny, ciężki. Miał ciemne kręcone włosy,
widziałam zaróżowione ucho — żywy
martwy człowiek! Więc cofnął się
do swojej śmierci.
Spróbował. Stałam nad nim
z rękami przyciśniętymi do serca
i czułam
jak coś się we mnie rozszerza: pęknie,
trzaśnie — i jest tam jakiś głos — i
wyje, niewydobyty. Chyba
nad ranem
ocknęłam się. Wypiłam wino z jego kieliszka i oblizałam
krawędź. Przed wyjściem sięgnęłam: podnieść jego głowę,
zobaczyć twarz. Ale, pomyślałam, nie. To
sprawdzi się samo.

1981–1983

Jako inspirację powinnam wskazać, więc wskazuję, *Draculę* Brama Stokera, *Nosferatu*, *symfonię grozy* Murnaua, a głównie *Nosferatu*, *wampira* Wernera Herzoga, gdzie Nosferatu grał Klaus Kinsky.

O pocieszeniu, jakie daje poezja

Ludzie,
czasami tu można cichutko zemrzeć, wyschnąć
w tym głodnym bastionie obronno-nacierającym, w tej
kraince
poezji. W tym kunszcie tak ascetycznym
gdzie można do woli
używać słów: jak cegieł, jak karabinu maszynowego,
jak ognia — sztucznych i prawdziwych, jak siebie, jak życia
które
ani wygrane ani przegrane
płynie —

A tu robótka: sklejanie całości
na ślinę, na intelekt, na kulturę, wbrew
kulturze (w ramach kultury); och, to popiskiwanie
mocarne, erudycyjne, prywatne — ja sama
jestem jego zdradzieckim sumieniem bez wiary,

najchętniej

używam słowa *wszystko*
jakbym chciała to, co ono zawiera
wystrzelić, wypluć — już! teraz!
I marzę o gigantycznym widowisku
jakiś filmowej operze z baletem, z muzyką przez

armatofony;

świat światła sława miliardy widzów

i doskonała wspólnota i rozumna, dokładna osobność
a nie tak jak tutaj:
relikwia
rzemiosło cienkiego nerwu
i cienkiego pędzelka
które już ledwo zipie pod ciężarem
własnej formy, świata, który przetrawia, głosu
który się wypowiada w tych
słupkach
schodkach
wersach.

I myślę: dobrze, *na razie*
jestem tutaj. I to *na razie*
prawdziwe czy nie
pociesza mnie najbardziej.

Sen o znaczeniu snów

Cezar i Wercyngetoryks

Cezar pokonał Wercyngetoryksa i przyprowadził go z Galii na łańcuchu. Podobno Wercyngetoryks jest dogłębnie piękny, a jego płeć nie jest jednolita.

Na tylnym dziedzińcu domu Cezara ktoś mówi, że Wercyngetoryks jest tam, w łazience.

Łazienka to raczej rodzaj akwarium z podgrzewaną sadzawką. Na marmurowych schodkach prowadzących na dno stoi Wercyngetoryks. Skórę ma gładką i opalizującą jak tafta, kobiece krągłe piersi, czarne, lekko kręcone włosy opadają na silne, szerokie plecy. Jego postać od talii w dół faluje pod wodą i nie wiadomo, czy Wercyngetoryks od dołu jest mężczyzną, kobietą czy syreną.

Do łazienki-akwarium wpływa Cezar w postaci tłustego, okrągłego karpia; lubieżnymi pętlami opływa talię Wercyngetoryksa — a ona odchyła się do tyłu, sztywniejąc z obrzydzenia. Cezar, urażony do żywego, żyłką nacina skórę Wercyngetoryksa nad biodrem i patrzy, jak czerwona strużka rozmazywana przez wodę spływa po białej, opalizującej skórze.

— Nie wydobędziesz ze mnie ani jednej mojej płci — mówi Wercyngetoryks —

1969¹

Nocny pociąg

Siedzę w więzieniu dla kobiet. To duży szary budynek o dwóch skrzydłach. Noc. Na gzymsie, nad jednym z zakratowanych okien prawego skrzydła, siedzą dwa ludzkie ptaki: mężczyzna i jego synek, bardzo podobny do ojca. Szarzy i nastroszeni jak puchacze pilnują okna celi, w której siedzi kobieta. Kiedyś zostanie żoną tego mężczyzny i urodzi tego chłopca. Czuwają, żeby nie zdarzyło się nic nieprzewidzianego.

Od środka więzienie jest szare, ale to miękka szarość — szmatek, fartuchów, irchowych ścierek. Moja cela, która leży w lewym skrzydle, przypomina raczej przedział kolejowy z zasuwanymi przeszklonymi drzwiami. W środku są leżanki z zielonymi obiciami.

¹1969 — Wtedy to śnił mi się sen, będący pierwowzorem tekstu. [przypis autorski]

Staję przy mojej, a naprzeciwko, na swojej, siedzi Irena: ostre rysy i ciepły koloryt. Z tymi jasnymi włosami, od których idzie złoty, bardzo intymny poblask i które zawsze zasłaniają jej oczy, więc kiedy patrzy, zadziera głowę. Zadziera głowę — a ja się pochylam i po chwili całujemy się. Zdejmujemy ubrania i kochamy się: kiedy rozchylam powieki, wszędzie widzę złotoróżowy poblask, wszędzie go czuję. W pewnym momencie nasz przedział — czy nasz pociąg — rusza. Jak wypełniona światłem tuba, lekko kołysząc sunie przez noc, nabiera prędkości —

— swoboda — swoboda —
— i na południe na południe —

maj 1985

Pokojówka Kafki

Jestem w pokoju o nieskazitelnie białych ścianach. Stoję przy wielkim ciemnym biurku, odziana w biały fartuszek pokojówki; z fajansowej maselniczki nabieram nożem masło i smaruję kawałki pergaminowego papieru albo zwykłych gazet. Posmarowane układam na tacce.

To kanapki dla gości Franza Kafki: są w pokoju obok, zza wysokich białych drzwi cały czas dobiega pogłos rozmów, śmiechy, czasami dźwięki pianina.

W pewnej chwili zjawia się Kafka: ciemny i płonący, pański i blady. Jego obecność magnetyzuje mnie i wprawia w złość. Kiedy idzie w moją stronę, zwieram się, jakbym była murem obronnym.

Precz, precz — powtarzam w myślach — precz.

Kafka przystaje przy mnie, ogląda kanapki, patrzy jak smaruję następne. Och, nienawidzę tej fali *braterskiego* despotyzmu, którą na mnie wypromieniowuje. Nie cierpię tego spokojnego wtajemniczenia, z którego wyrasta jego tryumfujący smutek.

— Patrz — mówi spokojnie, wyjmując mi z ręki nóż i kawałek pergaminu. — To nie tak. To się robi w *ten* sposób.

I odwraca kartkę i smaruje ją z przeciwnej strony. Idiota, najprawdziwszy idiota! Pokazuje mi tu jakieś swoje *ortodoksyjne* sposoby, narzuca mi je! Poucza mnie jak kuchnię, a ja nie zgadzam się, nie i nie!

Chcę mu powiedzieć coś takiego, żeby go rozniosło, żeby go przekreśliło.

— Jesteś ohydny — mówię — masz źrenice jak łebki szpilek. Sam zdychaj w swojej szufladzie, mnie tam nie zamkniesz!

Wiem, że wypadło fatalnie, ale jak niby miało wypaść?

Polykam lzy nad kanapkami. Kafka siedzi na krześle: śniady, pański, smutny. Za nim biała ściana, a wysoko, w górze, niewielkie półokrągłe okienko, przez które wpada słońce.

1970

Tajemnica bierności

Ruchliwym wczesnym popołudniem idę Nowym Światem. Spostrzegam nieduży pałacyk, trochę cofnięty w stosunku do innych budynków na ulicy. Wchodzę do środka, zamykam za sobą wysokie ciężkie drzwi. Jestem w poważnym, wyłożonym ciemną boazerią hallu, wszędzie palą się przyćmione gazowe światła. To Anglia. Jest wieczór. Koniec XIX stulecia.

Schodami przykrytymi dywanem wchodzę na pierwsze piętro, a potem idę korytarzem, długim jak aleja w parku, w którym przyćmione światło długiego szeregu mlecznych kinkietów zaznacza kolejne drzwi.

Jedne są uchylone. Zaglądam — i najpierw czuję jakby falę chłodu. Może to te zielonkawe, koloru wody morskiej, obicia ścian i światło spod niebieskiego klosza lampy? Na łóżku porusza się złączona para. Właściwie porusza się jedynie chudy mężczyzna, który pojękując wbija się w kobietę tak mocno, że aż ją przesuwa po śliskiej, atlasowej pościeli. Widzę jego tyłek i biodra pracujące energicznie — a ona leży jakoś dziwnie nieruchomo, jakby ten bezwład był spoza tego, co się tutaj z nią dzieje. Mężczyzna skończył — zamarł, uniósł się trochę znad jej ciała i szarpnął nią w złości, a ona poddała się jakby była zsztyta ze szmatek.

Miała anonimową, spotykaną w tysiącach wcieleń pospolitą twarz, popielate blond włosy, raczej wąskie usta i szerokie policzki. Było w tej twarzy coś męczącego, bez odpowiedzi.

Bierność, dogłębna bierność. Jakby sama przebywała gdzieś poniżej wszystkiego, uchylona, zabezpieczona, a to, co do niej dociera, co czuje ciało leżące na łóżku — to tajemnica.

Można tu dostać narkotyk, który wprowadza w stan bierności. Ale sam narkotyk nie wystarcza. Trzeba mieć też talent i specjalny *tropizm* — ona ma.

Tymczasem mężczyzna, już ubrany, wyciągnął jedwabną chustę i okręcił wokół szyi dziewczyny. Dusi ją.

Dusi — a ja patrzę na to z jakimś płytkim, półsennym oburzeniem. Wiem, że należałoby tam wpaść, narobić alarmu, wołać o pomoc, tak, zdaję sobie sprawę. Ale chcę tylko stać i patrzeć. Patrzeć i zobaczyć.

Im mocniej on zaciska na jej szyi chustkę, tym głębiej ona obsuwa się w głąb siebie. Gdzieś, gdzie jest poza wszelkim zasięgiem.

Chudy mężczyzna uznał, że rzecz jest skończona i nasunął na twarz i ciało dziewczyny prześcieradło. Po chwili minął się w drzwiach pokoju z wysokim gentelmanem w jasnym garniturze, do którego powiedział uprzejmie:

— Please, she is not jealous.

Na dole, w eleganckiej kawiarni siedzę przy stoliku obok mojej przyjaciółki K., ubranej w kremową sukienkę — przy jej zgrabnej obfitości i kasztanowatych włosach nadaje jej wygląd dostojny i rozpustny. To tutaj dobrano dla niej tę sukienkę.

Przed nami w filiżankach stoi kawa zaprawiona narkotykiem. Nie mówimy jednak o tym ani słowa. K. pije ostrożnie, małymi łydkami, a ja toczę ze sobą rozpaczliwą walkę. Boję się narkotyku — i strasznie mnie pociąga.

K. kończy i patrzy na mnie spojrzeniem wtajemniczonej wyższości: nie cierpię tego.

Na wolne krzesło przy naszym stoliku osuwa się, falistym ruchem poruszanego przez wodę wodorostu, uduszona niedawno blondynka. Obie patrzymy na nią jak zahipnotyzowane, ale ona niczego nie widzi, na nic nie zwraca uwagi — wypija duszkiem swoją kawę, opada na oparcie krzesła i patrząc w sufit czeka na powrót stanu, z którego się wynurzyła. Chce zawrócić — i niczego więcej nie pragnie.

Podchodzi kelner i pochylając się, pyta mnie dyskretnie:

— A może podać pani mężczyznę, który to wypił?

Mignęła mi w głowie pewna twarz, pewna postać:

— Czy może być ten?

— Ależ oczywiście — odpowiada, uśmiechając się. — Oczywiście.

Głęboko zanurzony w fotelu pół siedzi, pół leży ten właśnie młody mężczyzna, o którym pomyślałam. Młody, dwudziestokilkuletni, dużo młodszy ode mnie — o gęstych blond włosach i rysach jednocześnie ostrych i delikatnych. Piękny. Zawinięty w prześcieradło jak w togę. Odwijam prześcieradło — o, tak, piękny.

Chcę go ściągnąć z fotela na dywan, żeby mieć do niego lepszy dostęp, ale na podłodze leżą jakieś papiery. To jego notatki, wiersze, opowiadania: *dzikość tych miejsc mnie przenika nawet niebo w nocy jest tu żółte i gorące jak oczy tygrysa*.

Są też recenzje o nim: *To istny syn Matki Literatury*.

Pochyłam się nad nim i dociera do mnie jego stan, atmosfera wyobrażeń z tego ostatniego punktu, do jakiego udało mu się dojść w rojeniach sprzed godziny czy dwóch: *twarda gorączka intymnych dotknięć złączeń bez osób bez twarzy bez imion tytko gorący bezruch*.

Nie, nie do użycia. Nie jestem „twardą gorączką”, wilgocią i dotykiem. O, nie. *Ja to ja*.

Wracam do kawiarni i dopadam stolika, na którym nadal stoją nasze filiżanki. Teraz wypiję.

Filiżanka K. i uduszonej blondynki są puste. W mojej jest tylko resztką zwykłej herbaty z cytryną.

2 kwietnia 1986

Sen o znaczeniu snów

Obraz:

Pas fioletowego nieba podszyty resztką światła słonecznego, między końcem dnia a początkiem nocy. Fiolet granatowieje, światło zupełnie gaśnie.

Głos (bez płci, bez właściwości):

— Ten obraz we śnie oznacza zbliżającą się samotność.

Obraz:

Dolina jak przed tysiącami lat, zarośnięta wysokimi krzakami i trawami. Gdzie to? Widać dym, ktoś rozpałił ognisko.

Głos (bez płci, bez właściwości):

— Ten obraz we śnie oznacza zatraconą pamięć.

Obraz:

Moja przyjaciółka K. siedzi na krześle, milczy, w jakiś męczący sposób nie mogę uchwycić wyrazu jej twarzy.

Głos (— czekam, ale się nie pojawia —)

Tancerin

Cała sala, wysoka jak hala dworca, jest zatopiona w niebieskim zadymionym półmroku. Stoją tu dziesiątki stolików nakrytych białymi obrusami; publiczność ogląda, pije, pali, rozmawia. Od sceny pada przenikające wszędzie niebieskie światło.

Na widowni przeważają mężczyźni; rozmawia się przyciszonymi głosami, znajomi przysiadają się do siebie, co jakiś czas ktoś wchodzi, ktoś wychodzi popychając obrotowe drzwi z kryształowymi szybami, które potem obracając się siłą bezwładu nawijają smugi niebieskiego światła.

Postać na scenie jest niewielka i nie od razu daje się zauważyć. Ale to ona jest tu ośrodkiem, tańczy co wieczór całą noc, prawie do świtu. To jej lokal i publiczność przychodzi tu dla niej.

Jakiś facet w kapeluszu stoi przed estradą i wyrzucając ekstatycznie w górę ręce, powtarza: Tancerin! Tancerin!

Prawie jej nie widać: drobna blondynka w sukni z surowego jedwabiu; wszelkie formy ruchu są dla niej naturalne i zmienia jedną na drugą bez przejścia, z zaskoczenia; przed chwilą była igłą przebijającą materiał, potem kroplami wody wyciekającymi z kranu, teraz tańczy to, co jest na zewnątrz, na ulicy: neon odbity w kałuży.

Publiczność zamiera w zachwycie; rusza szmer, po chwili biją wodospady braw. Tancerka pokazuje, że kąpie się w tych oklaskach, oddycha nimi i pije je — brawa rosną i wtedy ona tańczy pewnego gościa, który przez nieuwagę strząsnął popiół z cygara do kieliszka z koniakiem. Rzeczywiście, jest taki gość — wychwytuje go niebieski reflektor. Tancerin śle mu całusy.

Nad ranem tancerka wraca do swojego apartamentu. Wszędzie — w korytarzu, w pokojach, w łazience palą się światła. Dużo światła i dużo kwiatów.

W sypialni pokojówka pościeliła łóżko na dwie osoby. Tancerka przysiadła na miękkim taborecie, powoli się rozbiera, chwilami nieruchomieje, nasłuchuje. Już wie, że kochanek nie przyjdzie. Nie o niego zresztą chodzi, chodzi o ruch, o to, że jest żywy i mógłby się

poruszać — w niej, z nią, na zewnątrz; choreografia byłaby wówczas ustalona, a teraz w samotności zaczyna się rwać, zanika.

Wszystko zamiera, ona czuje to zamieranie za plecami; gdziekolwiek by się nie obróciła, zawsze ma to z tyłu. Nie można zasnąć, nie można zamknąć oczu.

Jakiś głos (bez źródła, bez płci, bez właściwości) mówi, jakby podawał informację o godzinie odjazdu pociągu:

— Morbidus — Morbidus —

23 grudnia 1984

Inne możliwości

(Nocuję u mnie Iwona: wysoka bardzo jasna blondynka. Odstąpiłam jej swój pokój, a sama położyłam się spać w mniejszym. W nocy budzę się nagle i siadam na łóżku)

— najpierw przestraszona, po chwili spod tego lęku wypełza poczucie zupełnej samotności. Jakbym tkwiła w kosmicznej pustce sama poza światem i jakoś oddzielona od samej siebie. W panice skóra się na mnie ściąga.

To nie jest miejsce, w którym zazwyczaj śpię, nie moje miejsce. Wstaję, mam zamiar szukać siebie tam, gdzie powinnam być —

— przed oczami przepływa mi obraz mojego pokoju i mnie samej, śpiącej na materacu leżącym na podłodze, w zatoczce, którą tworzą półka z książkami i ściana —

Pochylam się; nad moim śpiącym ciałem ciemność wydaje się bardziej miękka, mniej napięta niż w innych miejscach pokoju. W jej zasięgu znajduje się to, czego potrzebuję: bezpieczeństwo i dostęp do świata. Chcę się położyć jak najbliżej siebie, wsunąć pod kołdrę i poczuć tę spokojną, zanurzoną w sobie obecność, z którą już się zaczynam przenikać.

A jeśli, posuwając się dalej, stopimy się?

Tego nie chcę, skąd, niech zostanie jakaś linia graniczna. Nagle jestem przestraszona — ona może mnie wchłonąć, a ja przecież chcę tylko poleżeć, pobyc obok niej —

Stoję pod drzwiami mojego pokoju. Widzę przez nie, że na moim materacu leży długa postać otulona kołdrą, na poduszce proste blond włosy. To nie ja. To Iwona. Ach — tak?

Spływam się w pojedynczą osobę. Spływam się w siebie. Ukonkretniona tak nagle, czuję się przez chwilę jakoś ubogo i ciasno, jakbym przeszła od ciekawszej, wyższej, do bardziej prostackiej formy istnienia. Jakby coś przepadło. Jakbym znalazła i zaraz utraciła sekretny dopływ —

Wracam i znowu się kładę. Jestem już spokojna. Kiedy zasypiam, widzę jak cicho domyka się szpara w drzwiach, zza których padało światło innych możliwości.

grudzień 1985

Odwieczne śniegi

Światło przygasa i rozbłyska w żółtawych nikłych wybuchach — jakby wyświetlano film ze starej taśmy filmowej. W tych rozbłyskach, na granicy widoczności można dostrzec klomb i biegnącą obok aleję, którą ciągnie grupa ludzi idących za młodą kobietą. Kobieta ma jakieś powiązanie z tajemnicą śmierci pewnego mężczyzny i jego dwóch córek. Zginęli lub zostali zamordowani — a może nawet między nimi samymi coś zaszło?

Klomb leży na tyłach małej stacyjki kolejowej — nie widać na niej nazwy ani tablic. Od strony peronu nadchodzi jeszcze kilka osób. Idę na samym końcu i jako jedna z ostatnich wchodzę w aleję —

— panuje tu stale zapadający wieczór, ani się nie rozjaśnia, ani nie ciemnieje, wszędzie jest coraz więcej śniegu, wszędzie leży śnieg —

Wśród tych śniegów było troje ludzi.

Śniegi i śniegi. Lata, wieki, tysiąclecia śniegów. Przybywające, przesuujące się. Trwające. Śniegi oddzielające od wszystkiego.

W tych śniegach zginął ojciec i jedna z córek. Nikt nikogo nie zabił, nic złego między nimi się nie wydarzyło. Po prostu zginęli w odwiecznych śniegach.

Ale druga córka nie zginęła. Szła przed siebie i szła — to jej cień widać na tej białej nie kończącej się równinie — aż doszła do strefy, gdzie żyją zwierzęta.

Te, które tam żyją, mają ogień: tam właśnie widać cienie zwierząt niosących pochodnie. Przesuwa się zarys niedźwiedzia, foki i psa husky, a z drugiej strony zbliża się ludzki cień. Spotykają się i już potem cały czas idą razem — z przodu cienie zwierząt, za nimi ludzki, wszystkie w pelgającym widmie ognia, które wygląda jak zetłala plamka, a jednak to cień grzejącego, żywego ognia w bezkresnych śniegach.

Prawdopodobnie ta kobieta, która prowadzi ludzi aleją, ma wiele wspólnego z drugą córką, która przeżyła wśród zwierząt.

Patrzę na śniegi, mam je na poziomie oczu, a w ciele czuję bezwładny ogrom ich przesuującej się masy.

Pojawiają się z dwóch stron gasnącego i rozbłyskującego ekranu, jak dwa białe jęczory, łączą się i osuwają w dół, poza pole widzenia.

Znowu pojawiają się nowe, łączą i znikają — i tak ciągle i ciągle, osuwająca się wieczność —

— która przekracza możliwości mojego smutku —

— przekracza —

1 września 1992

Szara wieczność

Ktoś ogląda duże, cienkie, szaro-brązowe zeszyty — o, tak, koniecznie trzeba się w takie zaopatrzyć. Tylko taki typ literatury, jaki w nich drukują, można wykorzystać w szarej wieczności.

Szara wieczność jest rodzajem uwięzienia, są tam nie kończące się szare płaszczyzny w szarym świetle, które nie daje cienia; pustka. Nie ma tam życia, tam się jakoś trwa. Oblęd chwytą na myśl o tym, jak tam przetrwać, w jaki sposób i czym zapełnić każdą kolejną chwilę, trwając w izolacji, w samotności, w pustce, bez zajęć, bez rozmów, bez dotyku —

Ktoś, kogo dostrzegam na tej szarej równinie, kładzie się na plecach i otwiera szaro-brązowy zeszyt. Czyta pojedyncze zdania i z coraz większym trudem — ale wreszcie — odpływa w stronę, w którą go pociągnęły.

Statek, bucząc, wyłonił się z mgły.

Pokrój bakłażana, dodaj pomidorów, oliwy, majeranku, oregano i soli.

Tylko przez takie zdania można wyrwać uwagę z szarej pustki, przez nie można się przedrzeć z powrotem do wspomnień, uczuć, obrazów.

Nad brzegami rzek Babilonu, siedząc, płakaliśmy — czyta ten człowiek,

— i buczenie statku — i starte w rękach suche listki oregano —

Aż szara pustka znowu wszystko wchłonie —

Bo jednak nie można bez końca używać zeszytów. W jakimś momencie fikcja przestaje działać. Jeśli się chce stąd wydostać, można popełnić samobójstwo — jak on właśnie robi: leżąc na plecach, wbija sobie sztylet w splot słoneczny. Stoję tuż nad nim i patrzę: nie ma krwi. Ciało zalewa ciemny cień.

I dopiero wtedy nastaje nicość.

1994

Namiot oczekiwanej miłości

Przez swoją nieopanowaną żarłoczność moja suka Melania dostała się na wyspę za miastem i nie może wrócić.

Błądząc po mieście, usiłując znaleźć jakieś połączenie z wyspą. Miasto leży na wzgórzach. Przy szerokich, wysadzanych drzewami ulicach, biegnących w górę i w dół, stoją stare, ale wewnątrz unowocześnione domy w ciepłych pastelowych kolorach. Światło ma tu wszędzie obcy, jasno-cierpki blask i pada ukośnie. Nigdzie nie widzę połączenia z wyspą, choć musi być. Przed jakąś bramą zaczepia mnie trzynastoletni chłopiec: on mi pokaże, może mnie nawet zaprowadzić. Ledwo to powiedział, kiedy skądś, z niewidocznego wnętrza mieszkania, wołają go rodzice.

W pewnym momencie, stojąc u szczytu stromej ulicy, dostrzegam wyspę.

I wreszcie na niej jestem.

Cała jest podmokła. Krzewy, trawa, trzciny — wszystko gnije. Spod łachy piasku wystaje łepok niedużego zwierzęcia — pochylam się i widzę, że łacha poruszając się chłono-kopulującym ruchem wchłania i trawi zwierzę, w którego oczach eksploduje przerażenie i ból. Po chwili ten obłęd zaciąga się pustką. Cofam się ze zgrozą i wdeptuję w rów z wodą, która ma w sobie coś oporno-szklistego, jakby miała za chwilę skrzepnąć. Wyłażę z rowu, odchodzę szybko po błotnistej, mlaskającej pod nogami ziemi.

Wszędzie tu panuje krwiożerczość i bezwład. Pożeranie sprzężone z agresywnym płodzeniem na oślep, do najpoczwarzamiejszych form. Brzydzi mnie to, ale nie boję się. To nie moja wyspa. Jestem tu obca.

Nad samym brzegiem natykam się na zielony baldachim; to znaczy: na podmokłej ziemi leżą deski przykryte grubym dywanem, na dywanie miękkie łoża z atlasowymi poduszkami, obok srebrna lampka w kształcie łodzi, w której pali się płomyk. Nad tym wszystkim rozpięty jedwabny, zielony baldachim, falujący drobno od powiewów wiatru.

O jeden z drażków, na których jest rozpięty baldachim, opiera się młody mężczyzna. Piękny. Ma ciemne oczy, w nich jakąś pierwotną ufność i przyczajoną ciekawość, w całej sylwetce lekką, sprężoną energię. To on to postawił. To jego namiot oczekiwanej miłości. Nie widzi mnie. Płyne obok obrazów z własnych marzeń: przed jego oczyma przesuwiają się zarysy kobiecych ciał, zbliżenia twarzy, czasem spojrzenia. Żadnego obrazu nie wyróżnia, żadnego nie zatrzymuje, wszystkie przepływają.

Och, ty durniu, myślę, mijając go, ty kretynie —

Znajduję wreszcie Melanię, z daleka dojrzałam jej białą, czarno nakrapianą sylwetkę. Biedna, ślania się już z głodu, a może odurzył ją rozkład wyspy. Muszę ją wziąć na ręce, chociaż jest naprawdę spora. Wracamy do miasta.

A z miasta nadal nie widać wyspy.

1987

Benjamin i Zbyszek

Wbiegam po schodach i wchodzę do mieszkania moich przyjaciół, Benjamina i Zbyszka. Trochę jestem zjeżona, bo oczekuję zwykłych u Zbyszka ataków złośliwości. Nie noszę ich, ale lubię podszytą osłupieniem fascynację, jaką wywołują.

Jednak Zbyszek w ogóle na mnie nie zważa, tkwi w fotelu, jakby go tam wcisnęła jakaś bezwzględna moc. Trwa w stanie oszołomienia i zupełnej niemoty. Zbyszek jest w ciąży.

W ciąży. Nagle olśniewa mnie myśl, że w ten sposób zyskał *od środka* dostęp do poznania całej odmienności naraz. Teraz ma to już w sobie i *wie*, nawet jeśli nie chce. Jest odmienny, został wtajemniczony.

Przykłąkam przy fotelu — och, strasznie chcę mieć dostęp do jego wyróżnienia. Przecież on musi mieć w ręku wszystkie nici —

Na razie czuję jednak tylko idący od niego opar smutku, zupełnego pogubienia i niemożności wyrażenia czegokolwiek. Trudno, poczekam, aż będzie mógł *to* wypowiedzieć.

Odrywam się od fotela i spostrzegam Benjamina. Od razu wiem, że Zbyszek musiał go zdradzać z jakąś kobietą.

— A jak inaczej? — pyta trzeźwo i smutno Benjamin, kiedy w kuchni wyciskamy pomarańcze dla Zbyszka. Już mu wybaczył, nie ma nic przeciwko dziecku i chciałby jak najszybciej całe wydarzenie wciągnąć w zwykły bieg codzienności. Patrzę na jego twarz, widzę wyraźną linię gęstych brwi, ciemną oprawę szarozielonych oczu — i spotykam spojrzenie przyjazne, ale nie do końca otwarte, i niewesołe.

— Wiesz — mówię tonem pocieszenia — Żyd, gej, emigrant... Jeszcze nie wiedział, co z tym wszystkim zrobić, a tu w dodatku ta ciąża.

— Przede wszystkim — odpowiada Benjamin, uważnie przelewając sok do szklanki — on jest bez miary kapryśny...

1979

Siostra Hitlera

(ALBO MATKA NATURA)

Siedzę przy stole naprzeciwko mojego brata, Adolfa Hitlera. Pokój jest mroczny, ciasny, zastawiony ciężką szafą, dużym stołem, krzesłami i fotelem.

Aż duszno między nami od wrogości. Śledzimy się czujnie i z napięciem, choć staramy się niczym nie zdradzać. Udajemy neutralność.

Za jego plecami wisi pluszowa portiera zasłaniająca drzwi. Okna nie ma. Na stół pada światło z wiszącej lampy. Widzę jego ręce na blacie — zawsze te za długie rękawy do marynarki. Staram się trzymać w półmroku, odchyłam się na oparcie krzesła, którego miękkie siedzenie zapada mi się pod tyłkiem —

— grzęzawisko — milczenie — nienawiść —

Coraz bliżej podpływa poczucie, że wiem, że rozumiem to, co nazywają magnetyczną tajemnicą jego siły i władzy. To nie jest żadna tajemnica, choć tak piszą w gazetach — jeszcze mam te nagłówki przed oczami — nie, to jest proste, tylko zapomniane, bo są radia, samochody, kłozety, ale to jest to samo co w ruchach szczęki małpoluda, który rozgryza kość drugiego małpoluda, to samo, tylko przebrane, umundurowane. *Dzisiejsze* — a dzisiejsze znaczy, że znowu jesteśmy czyjaś mroczną przeszłością —

Tylko trzeba to jakoś przeciwko niemu obrócić, podsunąć to jego własnym siłom i będzie po nim —

Tylko jak, jak się to nazywa i jak to brzmi, czy będzie to można wypowiedzieć krótko, jednym słowem, tak jak on wypowiada te swoje jedyne słowa, krótko!

Błąd, błąd z mojej strony, że myślę o tym w jego obecności. Jest wyczulony na zagrożenia, wylapuje je z powietrza. Wstaje, podchodzi do żelaznej kuchenki, która stoi pod ścianą obok szafy i nalewa do mojego talerza gorącej, gęstej zupy. Stawia przede mną talerz, a ja słabnę ze zgrozy. Wiem, że wsypał do środka trucizny, tego czerwonego proszku.

Nie mogę nie zjeść — jestem w kręgu jego władzy. Więc jem — bardzo powoli, karmię sama siebie jak niańka karmi zagapione dziecko. Wiem, że mam w sobie coraz więcej trucizny, ale nie czuję jej działania, czuję tylko tę zupę. Kiedy reszta krzepnie na talerzu, oboje uznajemy, że mam już prawo zostawić. Tak było zawsze: nie je się skrzepniętej, zimnej zupy — to szkodzi.

Przesiadam się na głęboki skórzany fotel poza kręgiem światła. Czekałam na działanie trucizny i chociaż nie mam poczucia nieuchronności, to liczę się z tym, że mogę umrzeć. Żal mi, że już nic nie zrobię, że go nie powstrzymam.

Portiera się rozchyła — to wróciła do domu nasza matka. Bez pośpiechu, ruchami, w których jest głęboki wewnętrzny spokój, kładzie na stole siatkę z zakupami, wyjmując

chleb, margarynę i powidła. Niewysoka, tłustawa, z dobroduszną twarzą, siwymi włosami i głęboko osadzonymi niedużymi oczami. Ogarnia wzrokiem pokój. Niczego nie wyróżnia, wszystko jest dla niej jednakowo ważne. Jest w tym chroniąca oczywistość i powszedniość, od których robi się jeszcze smutniej. Ale to daleka melancholia, echo przynębiającej nieodszywaności, zwykłości życia, blade wobec nadziei, jaka we mnie wstąpiła w jej obecności. Zdaje mi się, że ona ma dla niego dużo sympatii — ale w ostatecznym rozrachunku nie będzie go faworyzować. Spozstrzega na stole talerz z resztką zupy, widzi, że siedzę w półmroku i zwraca się do niego z rzeczowym zarzutem:

— Dlaczego jej dałeś tej zupy? Przecież wiesz, że ona tego *nie lubi*.

Nie lubi — to o mnie! To dotyczy mnie indywidualnie; te słowa działają jak odtrutka. Trucizna straciła moc. Nie umrę.

On robi jakiś ruch brwiami, ale nie pozwoli sobie — nie wobec niej.

Jestem jej wdzięczna. Do tej najgłębszej wdzięczności jest jednak przyrośnięty smutek i dystans —

Nigdy nie była mi bliska. Nigdy.

1972

Bibliotekarka

Jestem w wypożyczalni książek w małym miasteczku. Tłusta bibliotekarka podnosi oko i ogląda mnie spojrzeniem, które w ogóle nie wychodzi na zewnątrz. Chroni dorobek. Jej policzki, okulary: co znowu! — ta jakaś tam? Nawet nie jest stąd.

Podaje mi, choć jeszcze o nic nie prosiłam, księgę oprawioną w płótno. Z obojętnym błogosławieństwem patrzy na mnie, kiedy ją otwieram: w środku, równo przycięty do okładek, leży kawał słoniny.

1983

Studnia czasu

Powierzono mi małą dziewczynkę; podobnie jak ja ma kręcone włosy i w jakiś podobny do mnie sposób jest ruchliwa. Bardzo szybko biega po podwórku, co mnie trochę niepokoi, bo powinnam ją mieć na oku. Dziewczynka biegnie, mijają piaskownicę — i nagle gdzieś ginie.

Jakby się zapadła pod ziemię.

Rozglądam się wkoło: nie, nie widzę jej nigdzie. Idę w stronę tego miejsca, gdzie znikła.

To betonowy walec wpuszczony w ziemię jak krótka studnia. W niej — schody. I nic więcej. W ścianach nic nie ma. Na dole nic nie ma. Schodzę powoli schodami, nasłuchując uważnie: pusto, beton schodów, beton ścian. Półmrok. Jakiś poruszający się cień. To mój.

Szare ściany, gładkie; nic tu nie ma. Nic nie ma, ale jestem napięta, boję się. Gdzieś pomiędzy wyobraźnią a żołądkiem przelatuje z nagle dziwny kształt: jakieś skrzydła, ogon, płomień. Smok? Ale to jakieś banalne miejsce, pozostałość po robotach ziemnych.

Staję na ostatnim schodku — i nie mam odwagi postawić nogi na ziemi.

Zawracam na górę. Nie jestem z siebie zadowolona.

Wychodzę na podwórko: jak jasno! Po przeciwnej stronie ulicy widać miejski park, strefy słońca i lekko poruszające się od wiatru obszary zielonego cienia. Żółto kwitnące krzaki. Przyglądam się uważnie, czy nie widać gdzieś dziewczynki. Nie, nie widzę. I coś mi mówi, że jej tam nie ma. Coś mi mówi, że nigdzie jej nie ma.

Przed domem na ławce siedzi młody konserwatysta, blondyn w szarym garniturze z dobrze dobranym krawatem, o raczej miłej twarzy, na której ma dziwną łagodność bez

cienia wyrozumiałości. Potępia mnie za to, że nie dopilnowałam dziewczynki. Słyszę jak mówi do kogoś o mnie, że nie jestem dociekliwa:

— Myśli, że wystarczy szukać byle jak, tak tylko, po wierzchu.

Dławię się z obrazą, jestem oburzona — ale pod tym tłucze się niepokój; nie o to chodzi, żebym czuła się winna. Rzecz w tym, że coś jest — otchłanne czy płytkie, niezwykle czy banalne, ale jest. Niekoniecznie chodzi o smoka jako o smoka. Ale nie jest tak, żeby go w ogóle nie było.

1998

Hermafrodyty

Jestem na przyjęciu w białym pałacu położonym nad morzem, pełno tu gości, atmosfera swobodna, wiele atrakcyjnych osób, dużo wina, a na tacach śliczne małe kanapki. W pewnej chwili spotykam wzrok mężczyzny o ciemnych włosach — w jego spojrzeniu płonie ogień przyjemnie niejednoznaczny, ni to zaczepka, ni pytanie, wydaje się, że gdybym z nim poszła, gdybyśmy weszli tam, do jednego z tych pokoi na górze, skąd widać wyspy na promiennym morzu i pływające między nimi statki, to —

— to coś by się stało —

Stoję na podeście szerokich białych schodów z marmuru, a ten zaczepny płomyk wisi nade mną; kiedy ruszam w jego stronę, z góry zbiegają akurat dwie kobiety: młodsza i starsza.

Wydaje się, że jest ich nie dwie, ale dwadzieścia, ta młodsza zbiega jakoś brykając, śmieją się do mnie, mają przejrzystość rozświetlonej, falującej wody i ciepło światła. Kiedy mnie mijają, starsza odwraca się i woła:

— Chodź z nami!

Ach, oczywiście, pójdę z wami! Już zawracam za nimi na dół, tak się spieszę, że się potykam — w połowie drogi robi mi się jednak żal tamtej zaczepki, tamtego przytłumionego płomienia. Nie dowiem się, jeśli pobiegnę za jasnym światłem. Staję w połowie schodów i po namyśle zawracam. Tak się spieszę, że gubię sandał, który zjeżdża na sam dół. Nie szkodzi, biegnę wyżej, ale razem ze mną biegnie obraz twarzy tej starszej kobiety, pełnej wezwań —

Zawracam i znowu biegnę schodami w dół, a kiedy już jestem na samym dole, robi mi się tak strasznie żal tego mężczyzny —

— że aż siadam na schodach —

Wychodzę na dolny taras. Otwarty widok na morze, lekki wiatr. Lazur, wszędzie lazur i blask. W rogu tarasu, przy stole pod parasolem siedzi i rozmawia jakieś towarzystwo. Docierają do mnie ich głosy, nie umiem rozpoznać: kobiece czy męskie, raczej ni takie, ni takie — bogate, dziwne. Zbliżam się i widzę, że jedną z tych osób jest Emil, mój ukochany. O, to zaskoczenie. Nie sądziłam, że i on tu jest.

Jedna z tych osób ma żywe ciemne oczy, loki koloru mosiądzu opadają na plecy, pije białe wino i uśmiecha się w odpowiedzi na czyjeś słowa; obok blondynka czy też blondyn o przejrzystym, słuchającym spojrzeniu, w cylindrze i aksamitnej kamizelce koloru wina

— w tych ciałach jest jakaś podróż, nie wiem: odrzutowcem czy na wielbłądzie po pustyniach, wisi nad nimi muzyka, ale jeszcze nie słyszę melodii, wiem tylko, że ma szybki, chwilami zamierający rytm, a za nim pojawia się niespodziewanie zaczynający się znikąd, nie kończący się nigdzie, szalejący śpiew strun; boję się go, ale chciałabym go już usłyszeć —

Ciemne żywe oczy patrzą na mnie jakby chciały mi zadać zagadkę i jakbym ja stanowiła odpowiedź.

Te osoby mają w sobie coś takiego jak ta lazurowa powierzchnia podróży, wiem, że są poruszone, poruszające, niewyobrażalnie głębokie. Zaraz do tarasu zawinie statek i wszyscy oni popłyną na jedną z wysp na morzu.

— Czy mogłabym pojechać z wami? — pytam Emila, któremu strasznie zazdroścę towarzystwa i tego, co się stanie —

wrzesień 1996

Wiek Oświecenia

Bernard, trzydziestokilkuletni mężczyzna, prowadzi wyprawę, która jest na tropie najbardziej pierwotnych ludzi, jacy żyją na ziemi. Uczestnicy wyprawy są przeważnie Holendrami, niedawno przybyli do Ameryki, do Nowego Świata. Jest druga połowa XVIII wieku, wiek Oświecenia.

Kiedyś Bernard widział biegnącego półdzikiego psa tamtych ludzi; ciągnął się za nim smrodliwy, odwieczny zaduch krwi i popiołu. Widziano też ślady konia z rozszczępionym kopytem. Wspomnienie tamtego odoru przypomina Bernardowi o bitwie, w której brał kiedyś udział. Padł wtedy jego koń: duże, ciepłe zwierzę. Bernarda drażni dzikość tamtej bitwy: sam, szablą i z muszkietu, zabił wtedy tylu ludzi — i łączy mu się to jakoś z tymi ludźmi, do których chciałby dotrzeć. Żyją gdzieś w dole, w jaskiniach. Po ich śladach wyprawa schodzi w dół.

Na wzgórzu stoi dom. Z okna matka Bernarda widzi dolinę i drogę do jaskiń. Myśli, że jest stara, źle się czuje i chciałaby się nie bać. Czy mogłaby umrzeć bez lęku, jaki w niej to *wszystko* wywołuje? Nie wie. Ale czuje, że lęk jest obok, że mu nie podoła.

Ludzie Bernarda, którzy szli z przodu, między skałami pojмали psa tamtych ludzi. To ten sam, którego kiedyś widziano. Młody chłopak z jasnymi gęstymi włosami, w skórzanym kaftanie, trzyma go na powrozie. Pies jest nieduży, koślawy. Tak, wisi nad nim ten smrodliwy, odwieczny zaduch juchy i spalenizny. Pies patrzy na nich.

Ale nie jest zdrajcą. Milczy.

maj 1993

Show poezji koreańskiej

(Zasypiam na podłodze, na dywanie, przede mną stoi mały przenośny telewizor. Przez półsen dociera do mnie zapowiedź: zaraz będzie show poezji koreańskiej. Chcę to zobaczyć, otwieram oczy).

Partyzanci schodzą z gór. Prowadzi ich, skacząc po kamykach, młoda kobieta z długimi, zupełnie białymi włosami.

W mieście marszałek robi przegląd swoich wojsk: ma twardą szczękę i lisio-boczne spojrzenie. Widziany z góry, jest jedyną poruszającą się postacią pomiędzy nieruchomymi szeregami.

Przestronne, pustawe miasto — to stolica. Niedaleko rezydencji marszałka urządzono ogromny targ.

To z okazji zawieszenia broni pomiędzy siłami marszałka a partyzantami białowłosej księżniczki, która już jako dziecko została uznana za symbol oporu i sprawiedliwości. Jest święto, dzień wytchnienia. Od wszystkiego.

Na placu stoją setki budek i kramów. Przyjechali ludzie ze wszystkich stron kraju, można dostać owoce i jarzyny z południa i z zajętej przez partyzantów północy. Można kupić ryby, ubrania, tkaniny. Z kociołków na kółkach sprzedawcy nalewają do miseczek ostrej, gorącej zupy z wodorostami.

Szczupły student, który kupił tłustego karpia, mówi poprawiając na nosie okulary:

Jakiś lżejszy jest dziś uchwyt życia
— zupa rybna na kolację — owszem

ale potem
oko ugotowane
kiedy po niebie płynie księżyc...

Wymienia karpia na dynię i woreczek fasoli i znika między ludźmi.
Koło masarza staje starszy mężczyzna. Ma twardą szczękę, lisio-boczne spojrzenie i prosi:

Daj mi kawałek kielbasy. Jestem emerytem
i nie stać mnie na taki wydatek. O, tłuszcz,
tkanka — to wspomaga podniesienie ducha.

Masarz daje mu pęto kielbasy i emeryt odgryzając po kawałku odjeżdża, gwizdząc jak lokomotywa.

Między straganami z koszami, matami i wyplatany meblami przemyka młoda dziewczyna o zupełnie białych włosach i czarnych brwiach, ukośnych jak piorun. Dostrzegła wreszcie niebieską kurę, której wszędzie szukała. Wyciąga pieniądze z kieszeni szarych, luźnych spodni i bez pytania daje sprzedawczyni, która patrzy na nią ze zrozumieniem i mówi:

To przestwór nie-udomowiony.

Księżniczka przysiada na wolnym skrawku trawy obok i wkłada kurze do gardła czarną oliwkę. Przygląda się temu dziewczynka, która, podobnie jak księżniczka, nosi szare wypchane spodnie, a do nich bluzeczkę w niebieskie groszki.

Księżniczka wyjaśnia jej:

Opuszczam
swoją i waszą udrękę
i dwudopływową Biblię, królową rzek polskich.
Niech i dla mnie
otworzy swoje bramy Immigration OJJice!
Dorośłam już i chcę jeszcze
pożyć i umrzeć
osobiście.

Kura rośnie i rośnie. Jest już wyższa niż człowiek, wystaje ponad budki. Księżniczka jej dosiada, a kura podskakuje i rozkłada wielkie błękitne skrzydła. Nikt nie zwraca na to uwagi, nikt niczego nie dostrzega oprócz marszałka-lokomotywy-emeryta, który nadjeżdża krzyżąc:

A ja, twój stary ojciec? Czy się odważysz
opuścić mnie w biedzie i w starości?

Księżniczka na to nic.
Marszałek usiłuje złapać kurę za skrzydło i krzyczy dalej:

Czy nie żal ci twoich partyzantów
czy ten kraj już cię nie chwyta za serce?

Księżniczka odpowiada, pochylając się z wysokiego grzbietu kury:

Mam serce zdarte od wrzasku.

Kura odbija się od ziemi i startuje. Z początku leci jak przeciążony balon, opadając gwałtownie i tracąc równowagę, ale potem unosi się coraz wyżej i swobodniej.

Zaczyna się ściemniać. Wczesne popołudnie przemienia się gwałtownie w burzowy wieczór. Zrywa się wiatr, ludzie zwijają kramy, pakują towar. Błyska, a nad placem zawisają granatowe chmury.

Na tarasie swojej rezydencji stoi marszałek-lokomotywa-emeryt i patrzy w niebo, czekając kiedy pioruny i gwałtowny deszcz zawrócą z drogi księżniczkę. Ale kury nie widać. Już nie wróci. To przestwór nie-udomowiony.

Marszałek-lokomotywa-emeryt oparty o balustradę tarasu rzuca za księżniczką przekleństwo w stronę głębokiego i błyskającego nieba:

Lawo płynna! Obys
nigdzie
nie mogła ostygnąć ni skrzepnąć!

1975

Mdlejący afrykański dyplomata

Stoję na przystanku PKS-u, po drugiej stronie drogi ciągną się pola: płaska ziemia, gołe drzewa, nisko zawieszane ciemnoszare chmury. I tak samo aż po horyzont. Przyjeżdża autobus. Drzwi się otwierają i ze środka wysiada afrykański dyplomata. Bardzo czarny — z samego serca kontynentu. Ma na sobie jasny garnitur, w ręce trzyma skórzaną płaską dyplomatkę.

Rozgląda się. Podnosi głowę i patrzy w niebo. Szarzeje, opiera się o słup z rozkładem jazdy i osuwa się na ziemię.

Rzucam się, żeby mu pomóc, cucę go, rozluźniam krawat, pod głowę — ziemia jest wilgotna — podkładam dyplomatkę. Wreszcie otwiera oczy. Pomagam mu wstać. Stoi — między tą płaską ziemią a ciężkim niebem.

Znowu robi się szary, znowu mi zemdleje — będzie mdlał sto i więcej razy; on się nie przystosuje! Trzeba się stąd wydostać, oto jedyne wyjście.

styczeń 1985

Hunowie

Idziemy, ja i moja przyjaciółka E., brzegiem stromego wąwozu. Kątem oka dostrzegam — a może wydawało mi się, że dostrzegam — jak wzgórze przed nami się poruszyło. Przypatruję mu się uważnie — stoi nieruchomo.

Wąwóz, nad którym idziemy, ma ściany z białego wapienia, dno jest nierówne, kamieniste, porośnięte niskimi, mocnymi krzewami. Wydaje mi się, że dostrzegam jakiś szybki ruch między ścianami wąwozu, jakieś pulsowanie, jakby zawisł tam niewidoczny rój pszczół —

— jakby dostała się tam jakaś energia, która coraz gwałtowniej szuka dla siebie ujścia — dobiegają do nas nagle uderzenia bębna, nie wiadomo skąd —

W następnej chwili w wąwóz wlewa się potok ludzi i koni.

Widzę ich ubrania ze skóry i futer, ich ciężką żelazną broń. Jadą na koniach o grubej, skrzęconej sierści, niektórzy prowadzą też luzem zapasowe konie —

— cała ta niespodziewana, ale niegwałtowna fala płynie pod górę w nierównym, rozchelstszym rytmie, bez pośpiechu, jednak dość szybko —

— i niby składa się z osobnych istot, osobnych koni, osobnych ludzi — ale nie dzieli się na nie. Są już prawie w połowie drogi pod górę, stłoczeni pomiędzy ścianami wąwozu, ale w dole, u wejścia do jaru, ciągle pojawiają się nowi.

To są Hunowie. Hunowie!

Chwytny się z E. za ręce, patrzymy na siebie i widzimy, że ze strachu włoski w jej brwiach stanęły na sztorc. Z wąwozu można się dostać tylko na zbocze, że zbocza na szczyt wzgórza. Rzucamy się przed siebie, na oślep —

— najpierw w dolinę, siła rozpędu wnosi nas kawałek na wzgórze. Rwiemy z dziką siłą, podpieramy się rękami, podciągamy za krzewy i trawy. Wydało mi się, że słońce na horyzoncie pękło i została po nim krwawa piana —

— krwawa piana. Jeśli nas dogonią, to przejdą po nas jak po ziemi. Nic więcej. Przejdą jak po ziemi i zetrą nawet fakt, że istniałyśmy.

W jakiejś chwili widzimy wszystko z góry: dwie postacie rwące w stronę szczytu wzgórza, poniżej płowo-bura fala Hunów, za wszystkimi, w dole, pusty biały wąwóz, za wąwozem las. Pojmuję, że odległość między nami a Hunami jest stała, ciągle taka sama od naszego pierwszego ruchu. Nie ma znaczenia, jak szybko uciekamy. Trzeba się *oderwać*.

Zataczając się ze zmęczenia, przedzieramy się przez prawie goły las. W lecie obozowali tu Cyganie, ale przed zimą wyjechali. Od drzew i ziemi ciągnie jakaś nostalgia. Byli tu jeszcze tak niedawno, nie byłybyśmy same, pomogliby nam —

Na szczycie wzgórza stoi baszta. Przyspieszamy, drzwi są otwarte. Prawie na czworakach włączymy po stromych kręconych schodach na górę — i wypadamy na taras na dachu, wyłożony białymi kafłami kuchennymi, otoczony balustradą.

Siadamy na podłodze, potem kładziemy się. Ocalone. Ocalone — ale ta błogość jest jakaś mętna, niejednoznaczna, ulga — płytka. Coś jest nie tak. To nie jest prawdziwe ocalenie. Przed oczami staje mi obraz wejścia do baszty. Nie zamknęłyśmy drzwi.

Przepadło. Wszystko jedno — i tak żadna z nas nie zejdzie na dół. Nie w ich stronę.

Podchodzę do balustrady. Na dole jak okiem sięgnąć leżą szarozielone, przymglone równiny, nad nimi lekkie wysokie niebo z białymi chmurami, widzimy pola, domy, siatka dróg biegnie w głąb tego świata, żyjącego własnym bezpiecznym życiem. Dostęp do niego jest otwarty, nic go nie broni —

Ja się tam dostanę. Muszę. Obie z E. siadamy na balustradzie, żeby zeskoczyć w dół. Chwytny się za ręce, robimy wdech jak przed nurkowaniem, szarpiemy do przodu —

— przez chwilę spadamy — potem powietrze wybija nas z powrotem! Odbijamy się od niego jak gumowe piłki — i znów siedzimy na balustradzie.

— To jest cygańska próżnia — mówi E. głosem, który nie ma żadnej z cech jej głosu, który wydobywa się ze zwojów oczywistości, z samego ich środka. Potem otwiera oczy i mówi już swoim głosem: — Przeszli tędy i zamknęło się po nich. Nie zassie nas. Trzeba mieć rozessywacz.

Na wzgórze wjeżdżają pierwsi Hunowie. Ten, który jechał na czele, zatrzymuje konia koło otwartych drzwi baszty, zeskakuje na ziemię i wchodzi do środka. Inni, którzy podjeżdżają, wchodzi za nim. Widzę przez mury, jakby były przezroczyste, jak wchodzi po kręconych schodach na górę.

— Mam — mówię w olśniewającym blasku poczucia własnego geniuszu. — Mam to.

Tym razem skaczemy raczej przed siebie niż w dół, od razu zaczynając od słowa JESZCZE. JESZCZE znosi nas kawałek w dół, udało się. Od razu śpiewamy resztę:

POLSKA

NIE ZGINEŁA

PÓKI MY ŻYJEMY

CO NAM OBCA

Działa jak wolno rozpinający się spadochron.

Opadamy kawałek w dół, każde słowo rozpruwa kolejny kawałek próżni, przestrzeń się otwiera, spadamy —

Lecimy nad światem jednocześnie zajętych sobą i otwartym, nad szarozielonymi polami, czasami w dole widzimy ludzi zajętych swoimi sprawami, nikt nie zwraca na nas

uwagi, ale wiadomo, że w każdej chwili możemy lądować i że jest tam dla nas miejsce — ale ponieważ jest i ponieważ możemy, to lecimy dalej i dalej i dalej —
— a wszystko jest dostępne, ciągle —

1970

Pisarz sag

Mój bliski znajomy jest pisarzem sag, czytam właśnie jego prozę; w prosty i zwykły sposób opisuje odwieczne koleje życia. Nudzi mnie to.

— Czy nie byłoby ciekawiej — pytam go — gdybyś napisał coś o szybkiej, niezwyklej akcji? Coś wciągającego, może być zwykły kryminał.

— *Może być* — odpowiada cierpko.

W dyskotece, w jakiejś niewielkiej miejscowości pod Sztokholmem, jest sporo ludzi. Bar obsługuje para: biały chłopak i czarna dziewczyna. Na parkiecie mnóstwo dzieciaków.

Na galeryjce, nad czymś w rodzaju portyku, w półmroku dostrzegam pisarza sag. Siedział tam przez jakiś czas, potem zniknął. Zaraz po jego zniknięciu — eksplozja! Czarna dziewczyna z baru i jeszcze kilka osób jest rannych, chłopak leży, chyba zabity.

Ale nikt nie krzyczy, nikt nie wzywa pomocy, nie pyta o sprawcę. Patrzą na to wszystko jak na widowisko, które ich nie dotyczy.

Tylko ja jedna jestem wstrząśnięta, zdumiona: Jak on mógł? Jak?

Pisarza sag otacza cicha sława. Przyłączyło się do niego kilkoro młodych ludzi, także ten chłopak z baru, a on traktuje swoją świętę życzliwie, ale z dystansem.

Kiedyś w wiadomościach telewizyjnych mignął obraz: pokazano, jak wczesnym rankiem z jednego z tutejszych domów wyniesiono zwłoki młodej kobiety, Turczynki.

Morderstwa wsiąkają w ten krajobraz bez śladu.

Dla pisarza sag zabijanie jest jak objawienie, na które od dawna był przygotowany. Zachowuje trzeźwość — jest syty, bez oszołomienia.

Kiedyś spotykamy się na ulicy biegnącej między żywoplotami, które otaczają tutejsze domki. Za nim idzie kilku młodych ludzi z jego asysty. Jakaś postać teatralna tkwiąca we mnie ustawia mnie tak, *jakbym* miała oczy wzniesione ku niebu i załamane ręce:

— Ależ nie, Waldemarze — mówi postać przez moje usta. — Punkt oparcia musisz mieć w sobie!

— A nie mam?

Jest zaczepny i serio. Dawne więzy niezupełnie zostały zerwane, jednak nie powinnam wchodzić mu w drogę. Jeśli będę — zabije mnie.

Jadę do Turcji, jest tam narzeczona pisarza, a moja przyjaciółka, E. Może zechce mi pomóc.

Podróżuje się tam kolejką nowojorskiego metra, wagoniki mają spore okna. Kolej pędzi zawrotnie wysokim nasypem: w dole leży rdzawa turecka równina — zatkana jakąś nostalgiczną niemotą. Bezkrzesne miedziano-zielonkawe rżyska; zaprzeszły krajobraz.

— Wszędzie tu są drogi, którymi szły hordy dawnych ludzi — mówi siedzący naprzeciwko mnie Murzyn (chwilami wygląda jak biały, kolor jego skóry zależy od oświetlenia) — prawie ich nie widać, ale jeśli człowiek o pewnym tropizmie wejdzie na taką drogę, to nieświadomie pójdzie tak, jak ona prowadzi.

Patrzę na dół i wydaje mi się, że rzeczywiście w miedzianym kolorycie widać jaśniejsze linie, niepewne i zanikające — ale niektóre zupełnie wyraźne.

Ogarnia mnie jakiś chłodny lęk.

W zachowanej części prastarej bazyliki znajduje się elegancja restauracja. E. już na mnie czeka. Opowiadam jej całą historię, a ona słucha mnie tak, jakby sam fakt opowiadania był podejrzany.

Rezygnuję. Ona nie stanie po mojej stronie.

Ta część bazyliki nie ma dachu: widzę szybkie chmury, raz błyska słońce, raz ciemniej; zmienna, rozpraszająca pogoda, nie znoszę takiej.

Wracam. W korytarzu wagonu spotykam wysokiego Murzyna. Nie jestem pewna, czy to ten, z którym jechałam poprzednio (momentami wygląda tak, jakby był w czarno-białą kratkę — to zależy od oświetlenia). Stoimy naprzeciwko siebie, zaglądam mu w twarz. Przymyka potwierdzająco oczy, a potem unosi klapę marynarki: ma pod nią znaczek Interpolu.

Policja! Co za ulga! Nareszcie jakiś punkt oparcia. Mam za sobą międzynarodową policję.

Nareszcie przywróci się porządek.

wrzesień 1976

Kolejka do Jehowy

Stoję w dość długim ogonku — to kolejka do Jehowy; stojący przede mną przesuwa ją się bez pośpiechu. Jestem na końcu i czuję się jakoś niezupełnie zobowiązana, raczej swobodna, jakbym się tutaj znalazła ni to z własnej chęci, ni to przez przypadek. Stojąc tak sobie zauważam, że trzymam w ręce bułkę z szynką. Oj, niedobrze. Jehowa może się poczuć urażony tą wieprzowiną. Ale szkoda mi tak od razu wyrzucić całą bułkę z szynką.

Spomiędzy poówek bułki wyciągam zębami plaster szynki, zjadam, zagryzam kęsem pieczywa, resztę wyrzucam.

Ten gest oznacza (kompromisowe) przymierze i mam nadzieję, że został odnotowany.

marzec 1992

Anarchistka i policjant

Wychodzę jakby spod ziemi, z ciemnego wjazdu, prostuję się — i staję na środku jezdni, na ruchliwej ulicy miasta Meksyk, w jasny dzień, w pełnym słońcu.

Wiem, że brałam udział w zamachu organizacji anarchistycznej na ministra Identification Publica². Ale nie jest jasne, co właściwie zrobiłam.

Tak czy inaczej, muszę natychmiast zejść z widoku, pokazywanie się na ulicy nie jest bezpieczne.

Widzę, że wylądowałam w eleganckiej dzielnicy: jezdnia szeroka, naprzeciw rząd sklepów z bogatymi witrynami, na chodniku rosną palmy, a przed jedną z wystaw stoi kobieta w długiej beżowo-różowej sukni, osłaniając się parasolką przeciwsłoneczną.

Sama ze zdziwieniem dostrzegam, że także mam na sobie długą suknię z muślinu: żółty z różem — dziwne, żółty to nie mój kolor. Rozkładam ją w rękach — i natychmiast składam. Jest poplamiona lepkiem, tłustym smarem, który bezsprzecznie kojarzy mi się z bronią. Na dole odpruta falbanka. Daję krok do tyłu, bo właśnie nadjeżdża omnibus, a potem chcę przejść na drugą stronę ulicy i wejść w cieniastą bramę pomiędzy sklepami. Nie zdążę. W moją stronę już idzie policjant.

Robi mi się słabo ze strachu, ale nie mam szansy na ucieczkę. Policjant jest wysoki, szczupły, w granatowej kurtce z czerwonymi wyłogami. Podchodzi do mnie i pyta cicho:

— ¿Seniora, esta usted de Suecia?³

— ¿No, por que? — odpowiadam powoli, bo nie wiem, czy ta Szwecja nie jest jakąś pułapką. — *Estoy de Mexico*⁴.

Pochyla się do mnie i wtedy widzę, że ma delikatne rysy, ciemne oczy, śniadą, zmęczoną twarz. Przy stojce kurtki brak guzika i pagon na ramieniu naderwany. Patrzy na mnie uważnie i mówi jak ktoś, kto mógłby być moim sojusznikiem:

²Identification Publica — Tożsamości Publicznej. [przypis autorski]

³¿Seniora, esta usted de Suecia? (hiszp.) — Czy pani jest ze Szwecji? [przypis autorski]

⁴¿No, por que? Estoy de Mexico (hiszp.) — Nie, dlaczego? Jestem z Meksyku. [przypis autorski]

— Wie pani, nieelegancy ludzie w tej dzielnicy są podejrzani.

Odpowiadam badająco:

— Pan też nie jest zbyt elegancki.

Robi brwiami ruch „no cóż”. Zaczyna się wokół nas tworzyć izolujący, dyskretny krag.

Podaje mi ramię i idziemy: zaofiarował mi się jako ochrona, kryje mnie, to znaczy, myślę, że wie, że ma powód, żeby mnie kryć, ale do jakiego stopnia wie, skoro ja sama nie bardzo wiem?

Patrzę na niego i wchłaniając jego obiecującą nowość zapominam o tej myśli. Jego spojrzenie, ten uprzywatniony przez niego mundur, jego ciało pod mundurem — dosięgają mnie coraz mocniej: przez ramię czuje go od stóp do głów, a zwłaszcza tę strefę ciała...

Siedzimy na tarasie kawiarni i pijemy lemoniadę z lodem: widzę, że w środku niektórych kostek lodu są jakby ślady krwi.

On popija i patrzy na mnie z coraz bardziej stężonym oczekiwaniem — trochę się zaczynam obawiać tego, czego oczekuje. Ale i pragnę go coraz bardziej.

Jesteśmy w jego sypialni w wielkim, bogatym domu, który jest rezydencją rodzinną. Z okna widzę przeciwległe skrzydło domu: na słonecznym tarasie siedzi gruba Murzynka w białej płóciennej sukni. Wygląda jakby drzemała, ale podobno nie śpi, podobno zawsze czuwa i wie, co się dzieje w domu.

Leżymy na podłodze.

— Wydobądź mnie — mówi nie otwierając oczu; wciąga mnie i piecze jego pragnienie, żeby nareszcie wylała się czyjaś namiętność, żeby go zatopiło, potem wyniosło i żeby nie miał żadnej możliwości opierać się tej sile; żeby przywrzeć do niego płcią, przygoda, przemiana; żeby mógł to wszystko wchłaniać i przeistaczać się —

Zsuwam z ramion tę żółtą suknię, pochylam się nad nim, a on nie otwiera oczu, czeka. Na co, na kogo? —

Nasze wspólne gorące ciało stygnie i rozdziela się na dwa: nie, nie mam już na niego nadziei. Zaprojektował dla mnie żywioł, jakiego potrzebował — ale skąd mam wiedzieć, co on ma wspólnego ze mną?

Czuję się wypchnięta gdzieś, osamotniona, pominięta —

W nocy idę plażą w stronę portu. Słyszę szum morza, które jest teraz jak ciemna otchłań. Ale to droga, to połączenie. Czekam na statek, który popłynie na północ, do Szwecji —

7 grudnia 1985

Na skrzydłach wiatru

Idę w stronę morza. Przede mną wydmy, za wydmami — plaża. Kiedy wieje wiatr — dmie ukosem — rozpędzam się i wskakuję na podmuch, który jest lekki, twardy i dość wąski. Kładę się na nim plecami, żeby nie spaść, a kiedy cichnie, zsuwam się na ziemię. Potem czekam na kolejny podmuch, a kiedy go czuję na poziomie ud i bioder — znowu na niego wskakuję.

I tak wiele, wiele razy, aż podmuchy donoszą mnie na samą plażę i zsuwam się prosto na piasek.

Naprzeciw mnie sunie, toczy się, biegnie morze; z przodu coraz to nowe szeregi fal z białą pianą, woda dopada brzegu w długich chlustach — i zawraca do Szwecji —

1987

Nie jest gotowy

Opiekun

Lejb Goldin, tłumacz i literat
piszący w jidysz;
trzydzieści pięć lat. Teoretycznie
świetny wiek. Jak pierwsze wzniesienie
z którego już można ogarniać
początki i zmierzchy.

Ale praktycznie
jest rok 1941, getto w Warszawie; kilkadziesiąt
ogrodzonych ulic i kilkaset
tysięcy ludzi
chorych od tych ścian, bruków, sztyldów,
podwórek i schodów, od okien
za którymi znów to wszystko widać. Na ulicach
zapach potu
oraz trupi odór.

Niemniej jest piękny dzień późnego lata,
bezchmurny, parny. Wieczorem
spadnie niebieskawa mgła
powietrze nabierze jakby wypukłości
postacie ludzi zciągną się
zciemnieją.

Lubię jesień — napisał
chory na głód i śmiertelnie głodny
autor
tej niedługiej historii.
(Tak, ja też lubię. Nie dlatego jednak
idę za nim — powiedzmy 30 sierpnia 1941
od przedpołudnia prawie do wieczora — lecz dlatego
że przepuszczając jego historię przez siebie
muszę wreszcie uznać
ostateczność, nierozwiązywalność
tamtej rzeczywistości.
I nie tylko tamtej.)

Więc niedługo opowiadanie o wyjściu z domu
(jedyne, co — dość słabo —
trzyma go przy życiu)
i o dalszym snuciu się ulicami. Wszystko
tonem opiekuna żywych,
półżywych, nieżywych. Nostalgiczny
kpiący — możliwe, że jest jednym z Dzieci Życia które od zawsze wiedzą, że rodzice,
przodkowie, pokolenia tylko transmitują istnienie. I że samo życie stanowi pierwotną
wspólnotę żyjących
kiedykolwiek. Do której
należał, oczywiście, także
mężczyzna, o którego ciało

leżące w poprzek chodnika prawie się przewraca
gdy handlarz starzyzną robi mu uwagi
że chyba trudno nie zauważyć trupa
i że dość już brudna i wylachmaniona
ta marynarka, czy musi ją bardziej zdeptać? Nie musi —
rzecz jednak w tym, że czasem
zapada
w boczne rojenia
w obrazy przeszłości
nie ma tam jednak dróg ani podziemi
prowadzących wstecz czasu lub do innej konstelacji faktów;

och, wyłonić się na tamtej górskiej ścieżce ze dwa lata temu
lub w jakiejś kafejce aż na końcu świata:
kawa, lody, gazeta
nad głową lekko trzepocze płócienna markiza
w zielono-białe pasy —

Cóż, trzeba się wynurzyć
w tej samej przestrzeni
kilkudziesięciu ogrodzonych ulic —

*

Tęskni do miasta za murem
mówi o nim namyślnie: *moja miłość, moja druga matka*
w miejscu odcięcia nosi ranę rozłączenia.
(Nie wiem, co mam myśleć. Miasto — czyli co?
Czy tam jest ktokolwiek?) — Ach, rzeka — woła —
zobaczyć jej brzeg, nasycić się!

(Mieszkam jakieś półtora kilometra od tego Jordanu,
jezdnia, park, kilka murów
z rysunkami i napisami
w tym „Żydzi do gazu”, znów jezdnia, tereny sportowe
i już jest, płynie.)

*

W garkuchni
wisi gorąca para, zapach życia; jedzenie
wchodzi pomiędzy rozmowy, okrzyki
zciszone i głośniejsze (*kto? kto umarł*)
brzęk łyżek, z pomiętej gazety
wyłania się chleb
(niegrubo ukrojona kromka, ale *zjadłoby się*
choćby kawałeczek)
ktoś wylizuje talerz, żeby nie przepadło
ani jedno ziarno kaszy. Ciut nieuwagi i nieco szalbierstwa
i dnia tego stanął przed nim drugi talerz zupy.
Szczodry dzień
bo jeszcze
na ulicy Leszno, w bramie
znalazł trochę tylko nadpsuty
malutki ogórek.

*

— ogórki, pomidory, chleb, herbata z cukrem
wakacje ledwie zaprzeszłego lata; prawdziwa przestrzeń
ściany zielonych drzew z gęstym szumem liści
zamaszyste niebo, rzeka po horyzont, trzepoczące w wietrze
rękawy — *swobodne, bez Jude* —

*

Opaskę zdejmie za rok
przed komorą gazową (o ile dojechał żywy)
potem już nikt nigdy nie będzie wiedział
które z tych nagich posplatanych ciał
niebieskich od rozpuszczonych kryształków gazu
było jego —

*

Droga powrotna z kuchni
jest o wiele dłuższa (do czego
ma się spieszyć? Do tej nory
z brudną pościelą, do książek
których nie sposób czytać, do drzwi
do okna?).
Snuje się po ulicach,
przystaje na chodnikach; powoli zapada zmierzch

(z początku jak ledwie widoczna przesłona
między dniem a nocą. Czasem, kiedy mnie zastaje
w obcej otwartej przestrzeni
przyspieszam do domu myśląc: włączyć światło,
zasłonić okno, puścić muzykę).

Jego nie niepokoi
lubi *powagę tej pory* i ciemniejące powietrze.
Powietrze ciemnieje
gdy stoi w grupie ludzi
patrzących
w oświetlone okno szpitala: *lampa, spokojny pośpiech,*
lekarzka i pielęgniarki operują dziecko —

Po co, mówi, dlaczego?

Ale wie przecież

po co i dlaczego

— po to

żeby w jakiś wieczór móc stać na ulicy
patrząc na coś mniej czy podobnie poruszającego
przyspieszać przed zmierzchem
lub kontemplować ciemniejące niebo
płynąć w nurcie przemian
raz na jakiś czas popatrzeć z góry czy z boku
obejmując innych i siebie
okiem bystrym,
nostalgicznym, kpiącym:

— o, płynę

19 października 1994

Opowiadanie, które tu służy za pierwowzór, prawdopodobnie Lejba Goldina, zwane Kronika jednej doby. znajduje się w książce Rury Sakowskiej *Dwa etapy. Hitlerowska polityka eksterminacji Żydów w oczach ofiar*, z jidysz tłumaczył Jan Leński. Wrocław 1966 Tam też jedyne dostępne informacje o Lejbie Goldinie, którego do pewnego stopnia utożsamiam z bohaterem opowiadania, choć staram się wybierać to, co mogło być im wspólne. Zdania lub wyrażenia zaznaczone pismem pochyłym są cytatami.

Nie jest gotowy

Urodzona w 1914 roku,
w niebogatej, emancypującej się, żydowskiej rodzinie,
jaka bym była? Raz żarliwie w środku, raz z boku,
niecierpliwa, ale dość uważna.

Gdyby były pieniądze, uczyłabym się. Gdyby nie było,
też bym próbowała. Być może zarabiałabym szyciem
i chodziła do szkoły pielęgniarek — bo zawód trzeba mieć
koniecznie. Pewnego dnia
na pedałowej maszynie Singer
zszywałabym sukienkę z lejącej się, pełnej ruchu żorżety
i dojechawszy — niekoniecznie równo — do końca szwu
spojrzałabym w okno: błękitna zatoka
między dachami i wypływające białe obłoki —
i czułabym
coś chętnego do zmiany,
do przepływania. Cokolwiek bym zresztą robiła
i tak bym wiedziała, że świat nie jest
nie
świat nie jest
gotowy.

Na pewno chciałabym wiedzieć; czytałabym
socjalistów, Marksa i mnóstwo powieści. Z samouczka uczyłabym się francuskiego. Nie-
zbyt bym
wiedziała
gdzie leży mój talent
ale czułabym jak pieni się, buzuje.

*

Tamtego wieczoru
wychodząc z narzeczonym z kina
jeszcze przenikałam z obrazu w obraz, przyciskając rękę
do własnego serca
w samym środku gęstych cudzych uczuć,
na innych ulicach, wśród mgły przesączzonej światłem —
— Aż stanął przede mną
martwy tunel tego z nim wieczoru — i wszystkich
następnych. Za oknem kawiarni miejski skwer; latarnie
podświetlające sklepienie czerwonych liści nad aleją: pięknie
byłoby nią odejść w Inne Możliwości.
Grzebiąc w szarlotce

Powiedziałam, że nie chcę już się z nim spotykać.
Miał, owszem, jakieś miejsce dla mnie —
czy dla kogokolwiek — stałe i na swój sposób nawet za poważne,
przy domu i dzieciach. A ja bym chciała miłości,
szczególnej Uwagi
oraz Skłonności do Przemian.

Przez kilka następnych wieczorów
sztywniałam ze strachu
że już zawsze
zawsze i na wieki zostanę sama.

*

Byłam sama, ale nie samotna,
przeszłam właśnie z młodzieżowej sekcji
Bundu (albo PPSu lub KZMP)
do organizacji. Uwielbiałam wtedy słowo
internacjonalizm
mocne i pełne powietrza; jak poryw Erosa
do najdalszych granic, czułość podobieństw
i magnetyzm różnic

Nie czułam się polska, na pewno,
i żydowska tylko warunkowo,
raczej z obrzeży, prędzej z negatywów jednego i drugiego,
wewnętrzny ruch
i tęsknota na zewnątrz

Dyskutowaliśmy czy wraz z wyzyskiem i niewiedzą
wygasną uprzedzenia, czy rasizm i antysemityzm
znikną same z siebie, czy ciemnota
to tylko ciemnota czy jeszcze
coś więcej? Chodziliśmy na wycieczki
z plecakami, biały kamyk kopnięty wysoko
spadał do szybkiego zimnego strumienia,
dwa razy w tygodniu grałam w siatkówkę, krzycząc piszcząc;

— to wszystko pozwalało lubić terażniejszość
którą jednak raczej nazywałam *jutro*
wobec czego mogłam lekceważyć ciemne *dzisiaj*
mówiąc o nim *wczoraj*.

*

W 1936 w lipcu
każdego dnia rano
kupowałam gazetę — z powodu wojny w Hiszpanii.
„Oby tych żydków czerwonych — powiedział facet
w opiętym garniturze — zgnetli jak wszy”
i odszedł słoneczną ulicą
nad jego głową korony drzew
i szpalery otwartych okien

a ja w pierwszej pustej bramie
kucnęłam, twarz zasłoniłam gazetą i zapłakałam

jak niczyje dziecko,
a jednocześnie zaczęły wyrastać mi szpony
i w gardle czułam ogień, którym mogłam zionąć..

*

Gdybym się bardzo starała (a starałabym się)
dostałabym się do Hiszpanii. Granicę przejechałam
autobusem, półżywa ze strachu. Po przeszkoleniu
wylądowałam u socjalistów, w oddziale UGT.
Tak czy inaczej
tutaj moja Oczywistość Wewnętrzna spotkała
zewnątrznie *tak* świata; w szklistym powietrzu
pomiędzy pasmami gór, na rozległych
kamienistych równinach gdy pociąg skręca i z przednich
wagonów machają do nas, w tylnych. Nawet w okopie gdzie od wilgoci boli mnie żołądek
ale

tak, si, ja, oui
kiedy we dwoje we dwie my w trójkę siedzimy
na wielkim nagrzanym głazie

Czy chciałam strzelać? Całą noc myślałam czy
strzelać, i tak, mówię, tak, chcę broń, będę zabijać,
skoro i mnie mogą, to jest sprawiedliwie. Strzelać;
odsyłać upiora w niebyt —
skoro inaczej się nie da

Z końcem wiosny zaczęto
zabierać kobietom broń; formowano Armię,
wprowadzano bardziej wypróbowany porządek;
na upalny front w Aragonii
pojechałam już jako pielęgniarzka, bez broni —
i tam mnie trafiono
na początku września. Kiedy mnie postrzelono
obejrzałam się gdzie stoję

ja
ta nie trafiona. Nie było jej.
Cóż,
nasz oddział przestał istnieć w sierpniu,
i już nie było tych, których ja najbardziej...

W miasteczku nad morzem, na północ od Walencji
najpierw mnie wyleczono potem ja
leczyłam innych — ni żywa ni martwa,
chodząc po plaży w zimowym białym słońcu
jak w bąblu nocnego powietrza. Już zbliżał się koniec;

i w różnych wariantach śnił mi się sen: Republika w czapeczce frygijskiej, ta z lwem,
jest głuchoniema jak pies magazyniera z naszego szpitala
ze smutku wyje w środku, i nikt tego
nie słyszy.

*

Buczenie statku, który mglistym rankiem
odbijał od brzegu głuchej Europy,

para mojego oddechu nad zimową wodą
— *żegnaj bieno matko*

*

Wyjeżdżałam jako żona lekarza z Bostonu —
pracowaliśmy razem nad morzem; miał legalne istnienie
paszport i dom;
dzięki niemu uwoziłam życie,
które niedawno ocknęło się we mnie ze strachu
przed rozkładaniem się w kamienistej ziemi;
umierać — nie dokonawszy niczego, tak mało wiedząc

Ten czas, to teraz w moich oczach ciemnieje tęższe
pod lśniącą ruchliwą powierzchnią zdarzeń i dat
trwa nieruchawy mezozoik, era wielkich gadów
a może epoka wampirów; piją krew ale nie ożyją,
oświecone dzieci — nie wierzyliśmy w nie
lecz nie uciekniemy.

*

W Stanach kilka pierwszych lat spędziłam
jak nie w swojej skórze, powoli się ucząc kraju i języka,
byłam *żoną doktora* i byłam mu wdzięczna
ale polubiłam go kiedy się rozstaliśmy,
po wojnie.

*

Ten kraj, taki zauroczony sobą, a jednak
rzetelny, podobał mi się, powinowactwa z wyboru
były tu dostępnejsze, możliwości bliższe,
drażniła mnie tutejsza kobiecość i męskość, krępowały mnie
przywileje mojej skóry
choć nie poczuwałam się do tej
białości.
Pracowałam w sklepie
z aparatami fotograficznymi, potem
w kinie u moich przyjaciół: w kasie i na sali
i nauczyłam się obsługiwać projektor.

Ten film uwielbiałam, jak wszyscy: ta scena, kiedy on mówi do niej
nie dając po sobie poznać: *I am not fighting for anything anymore
except myself.*

Nie, nie, coś poza samą sobą także. Zawsze po lewej stronie
ale już nie z wyznania, a tylko z przekonań; nienawidziłam
McCarthy'ego, południa, republikanów, pań domu z życia
i z reklam,
teraz jednak bardziej intymnie ze sobą,
z podwinętymi nogami, zaczytana
dopóki na kartki nie spadła kropla lodów pistacjowych,
ta ich zieleń taka nieprawdziwa, taka naturalna

Zdjęcia robiłam coraz lepsze,
W czerwonym świetle ciemni
patrzyłam
jak na papierze pojawia się powoli obraz
utrwalony wczoraj, rok temu i osiem lat temu
i patrzymy na siebie, to znaczy ja patrzę dziś na to dawniej
które już nie patrzy, ale je widać
od strony aktualnej, po której ja stoję
(do czasu —)

W jakiś jesienny wieczór, kiedy przelamuje się dzień
i noc, i fala rozlewa się w brunatno złotym świetle
na ciemniejącym piasku czasu
on wziął mój aparat
i 18 kwietnia 1958, wieczorem
pstryknął: stoję przed drzwiami domu i właśnie
przekręcam klucz w zamku, w czerwonej wełnianej
kurtce z postawionym kołnierzem,
i patrzę w obiektyw,
a potem otworzyłabym drzwi
i weszliśmy do środka.

*

A gdybym została w Polsce? Nie udało by się
dostać do Hiszpanii albo bałabym się za bardzo;

coraz bardziej bym czuła jak tu duszno, i że dotyczy mnie
tyle nienawiści i tyle pogardy, że to musi uszkodzić ci duszę,
ci korporanci, zyletkarze, księża wężowym jadem
plujący z ambon,
i ci Żydzi z małych miasteczek, ortodoksi,
poza czasem i poza przestrzenią, te moje babcie i dziadkowie wobec których jestem znie-
cierpliwiona i nie najgrzeczniejsza,
„proszę, jaka ona mądra”, mówiła by babcia
z politowaniem.
I co bym robiła? Kogo bym poznała, z kim się przyjaźniła, jakie
plany układała? Czy zakochałabym się w Dorce z domu na rogu,
czy raczej w jej bracie,
a może zbierałabym się do Palestyny
lub do Belgii,
nie wiem

W 1942 lub w 43 zagazowano by mnie albo zastrzelono
nad rowem gdzieś w lesie
lub może bym przeżyła jakimś cudem —
— jakkolwiek by było
i tak bym wiedziała
że świat nie jest
nie
świat nie jest
gotowy —

1996

Samochód Helgi

Mój charakter pisma jest jak samochód Helgi
— najpierw nie wiem dlaczego
lecz fraza w sercu to właśnie powtarza;
wnętrze jej samochodu jest jasne, słoneczne,
pełne powietrza płynie ponad drogą, gdziekolwiek ona
tam także jej opel,
przebijają się przez przestrzenie
gdyż dusza jest ruchliwa, bystra i ciekawa
skora do śmiechu; czasem jednak — tak sobie wyobrażam
w bezruchu kontempluje mętne krople, sierocy świat
głupi
i zmierzch pełen śmierci.
*Empfindlichkeit*⁵ — tak się to nazywa, co ma
w wyrazistych oczach i ustach, w twarzy dziecka,
kobiety i chłopca; co cię dopuszcza blisko
lecz nie jest
tak bliskie światu
jakby kto głupi myślał.

Wilgotna jezdnia sunie w smugach światła
i papier szeleści —

1995–1997

Nadchodzę już

Celna uroda
celnie dotykająca;
zielonkawe, jak światło po wodzie, refleksy
ważnych spojrzeń,
ćwiartka świeżego ogórka
nurzana w miseczce z sosem, a potem
chrupanie,
czarny pies w wyskoku po patyk, w śrubie w powietrzu
i nasze głosy wołające *brawo! brawo!*
i stopy w miękkich pantoflach
koloru kobaltowego zmierzchu
zaprzeczoność właśnie skończonych oddechów
w ich ciągle terażniejszym łańcuchu, a jednak
zaprzeczoność;

głuchy dźwięk dzwonka
nad zapyloną drogą:

nadchodzę już

nadchodzę!

⁵*Empfindlichkeit*, czyli, jak powiada mój słownik niemiecko-angielski, *sensibility*, czyli, jak mówi słownik angielsko-francuski, *sensibilité*. [przypis autorski]

Nieskończoność

Nieskończoność, którą wielbię od dziecka,
Nieskończoność dodawanych bez końca odcinków, ekstatyczna;
świat do świata i kolejne światy!
Nieskończoność jak ogień w pochodni Statuy Wolności,
to samo światło ponad morzami najróżniejszych czasów.

— Abstrakcja z niezliczonych konkretów
wieczność z niepoliczalnych śmierci
gęsto, jeden przy drugim, ciasno, obok siebie
trupy kotów gołębi psów ludzi jaszczurek —

Gdy będę staruszką, rozstaniemy się, moja kochana
ty swoją drogą
 ale ja
 na lewo —

Sutra diamentowa (Jablonex)

*Forma jest pustką
a pustka jest formą*
są jednak pustki mniej lub bardziej błyszczące
i formy wklęsłe, ale też wypukłe.

*Forma jest pustką
a pustka jest formą*
ale tu stoi pustka
w formie szaroniebieskiej kanapy, którą kupiłam w Ikei,
obok niej czeka moja filiżanka z herbatą i otwarta książka
w której rozlazła blondynka ratuje
związłą szatynkę od śmiertelnej klęski —

*Forma jest pustką
a pustka jest formą*
gdy nie ma już oddechu ust wzroku słuchu
powietrza głosu światła ani dźwięku
wiedzy się nie pocieszysz

Ale póki jest —

Cienie

Cienie, cienie chmur sunące po trawie,
długie cienie późnym popołudniem,
cień spod ziemi,
głuchy cień
nieistnienia przed życiem, niemy cień nieistnienia
po życiu, szepczący cień nieistnienia teraz;
wszystko się wycofuje, wszystko się samo sobą zasłania,
nie da się stanąć w świetle —

Między psem a wilkiem

Dopóki widzę przed sobą resztkę światła
jeszcze nie ma strachu. Zjeżdżam na dół drogą,
mijam panią krowę. Za rzeką gorące tunele
późnego zachodu wśród wystygłych chmur:
rewolucyjna czerwień, cesarska żółć, feministyczny
wrzos; więc dzień nadal należy do nas,
dwunożni. Ale za zakrętem
gasną resztki światła, znikają lekkie cienie szprych
mojego roweru. Szara szarość, gruba i skondensowana,
osacza mnie jak mech nagle wyrosły z powietrza. Bicyklu,
uciekajmy; stopa naciska pedał, solidny
ustępliwy opór, mój oddech,
twoje mruczenie dynamy, podskakujące
nikłe światło lampki. Prędkiej,
świat staje się zbyt jednolity, zewnętrzny i taki
przepastny. Pełen aluzji,
których treść tłucze się już w sercu i w żołądku.
W domu mój czarny pies nastawiwszy uszu
czeka w drzwiach między pokojem a gankiem,
patrzy ze światła w ciemność. Gdzieś w przepastnej czerni
staje wilk, wygląda
z ciemności w ciemność —

A ja pędzę, pędzę
środkiem —

Co mam w kieszeni

Szminkę ochronną, cztery wizytówki
różnych radio taxi (ostatnim razem, kiedy przejeżdżam przez plac
w lustrzanych ścianach wieżowca czerwone lawy zachodu
jak tygrysi skok
ale nikt chyba nie widzi, a ja
myślę o mroku tego mieszkania na Pradze
gdzie mnie już nie kochają), trzy wizytówki przychodni lekarskich,
karnet na basen (nieznane dziewczynki
stają na dnie na rękach, potem piszczą i czkają ze śmiechu,
a ja z nimi), długopis,
mały ołówek automatyczny, gumkę, stary bilet do kina
(— *To niebo jakby nas osłaniało* — on mówi
kiedy próbują się kochać na brzegu pustyni; czerwona
ziemia, błękitny klosz nieba. — *A co jest za nim?* —
ona pyta. — *Nic* — odpowiada — *tylko*
noc. I pustka), dalej Nerwendraże, przeciwbólowy Saridon (och, błoga
chwila, kiedy się rozwiera ta zardzewiała paszczyka i znowu
międko wpadaś w swoje ciało), jakiś strzępek papieru,
tak, ten adres. Turek, 21 lat, dożywocie,
prosi, żeby do niego napisać. Lubi kino. (Tak, lubi,
ale jak mam wydobyć głos? Co mam niby pisać,
jak się pisze, o czym, takie listy? Czy mam mu napisać
„Perspektywa twojego życia przeraża mnie, bardzo ci współczuję”

czy też opisywać swoje, ale od jakiej strony
— no nie mam, nie mam pojęcia) —

Czwarta panna Brönte

Kiedy wracam z plaży do tego domu na wzgórzu
gdzie wynajmuję pokój, więc kiedy
idę lasem pod górę, tak mnie niepokoi szybkość
z jaką wszystko ciemnieje, że przyspieszam, żeby ją wyprzedzić
i wtedy też ona

czwarta panna Brönte (czwarta z tych piszących)
coraz szybciej wspina się na wrzosowisko; tak gwałtownie
się ściemnia, serce jej się tłucze z obawy
że ją wchłonie ta równomiernie kładąca się szarość, zatopi bez śladu
w garści trzymając mokrej od rosy sukni i płóciennej halki —
aż staje przed domem z jasnego kamienia, w oknach zbawcze światło
nie wie, że tam mieszka młody wydawca z Yorkshire;

O, tak, on mówi, wydaj, wszystko wydaj; ona się przy nim czuje
jakby się wydostała z gmatwaniny kosmicznych i ludzkich
przypadków, on — jak odnaleziony;
spędzają trzy oniemiałe dni, a potem latami
żyją w radosnym zdziwieniu;

Drzewa zamknęły za nimi gałęzie i zostali w lesie
mieszkają w szałasie z psem, który nie szczeka, żeby nie zakłócać ciszy
gdy dwa nasłuchiwanie słyszą się nawzajem; przyjaciółko, mów,
w dzień i w nocy płyn pod płonącym żaglem; przyjacielu, powiada,
w dzień i w nocy oczekuj mnie, płynę —

W wiele lat później od dawna samotna panna Brönte
autorka powieści oraz poematów
zza okna restauracji, w której je pizzę z pieczarkami
obserwuje ulicę Londynu; tyle powozów, spieszą gdzieś posłańcy
uwija się gazeciarz, blask gazowych latarni
miękkko odbija od matowego półmroku wieczoru, na piętrach
okna przyćmione jak chińskie lampiony, jeszcze wyżej
niebo — zaskakująco jasne ponad mrokami ulicy; odwieczna
pora niepokoju oswojona w mieście —
a jednak od razu dostrzega go, widzi
jak się wylania pomiędzy żywych, z powietrza, z ruchu:
całkowicie nieobecny, jakby z najgłębszego
bezwładu tego świata, z dna; nie było nic wspólnego między nim
a tym dniem z jego wczesnojesienną pogodą
z zacisznymi bladeżółtymi sferami tworzonymi przez światło i liście
i sucho-gorzki, odrobinę mglistym zapachem
nic wspólnego z nocą, kiedy się jej śni;
— *Dla Ciebie przebyłem oceany czasu* — powiedziałaby
z uwagą patrząc ponad kobaltowym szkłem okularów
które filtrują światło żywych; Tristan, duch współnika;
o, jakie ubóstwo, jaka nędza, nie jest nawet upiorem
niczego nie przebył, nie ma go, nie może
nie jest panem swojego nieistnienia
odwrotnie odwrotnie;

i kiedy drzewa zamknęły za nią gałęzie i została w lesie
bez latarni, które dają blask dojścia tej porze odejścia,
panna Brönte rzuciła się przed siebie, biegła i biegła drąc suknię
okrzaki; tak szybko się ściemnia i serce jej się tłucze
ta równo kładąca się ciemność wchłonie ją, zatopi —
aż dobiegła do murowanego domu, zbawcze światło w oknie
nie wie, że tam mieszka dobra kobieta, podobnie jak ona pisarka
pani Eliza Orzeszko.

Drzwi się za nimi zamknęły i spędziły trzy wspaniałe dni
panna Brönte opowiedziała starszej (to znaczy: młodszej) pisarce
że nie rozumie, dlaczego stan idealny także ulega
entropii, logika uczy inaczej, a potem rodzą się upiory (albo tylko duchy)
które się jednak kocha. — To wszystko z nadmiaru — powiada pani Eliza.
— Raczej z niedomiaru — mówi panna Brönte — z niedostatku wyobraźni
stworcy, natury albo ewolucji niedostosowanych w ogóle
do umysłu człowieka.

W swoim towarzystwie odnajdują spokój
i pewne duchowo-zmysłowe doznania, o których napiszą za sto lat
mniej więcej. Obie tworzą, wieczorami wychodzą nad rzekę patrzeć
jak za jej trzecim zakrętem ginie słońce, dla obu ojcyste.

— Chcę zostać —

mówi panna Brönte. — Chcę być z tobą, Elizo. — Niestety, przyjaciółko
— powiada pani Orzeszko i gładzi jej ciemne loki (czy mówiłam,
że ma ciemne loki?) — to słońce, na które patrzymy
zaszło jakieś sto lat temu i ja także jestem już *miniona*.

Cóż tu pomoże rozpacz, wobec faktów
można sobie rozpaczać; idzie jednak o to, że ona
nie rozumie w ogóle, jak jest możliwa przeszłość, w zasadzie nie wierzy
w istnienie ludzi żyjących dawniej niż przed narodzeniem
jej własnych rodziców, dalej pustka —

nie w sensie faktów, bo to

da się pojąć, ale *aktualności*, trwania; bo jak jest możliwy
16 sierpnia sprzed stu lat, nie sam dzień, ale jego
aktualność? Tamten wschód słońca, światło na kołdrze Elizy
jej woda w misce, ucisk jej gorsetu i świeżo wyprasowana bielizna
pachnąca gorącym metalem żelazka, popołudniowy ból
głowy, przyjemność pisania, ciągnięcia liter
po gładkim papierze, taki ruch ręki przy w, a taki przy e,
a nie fakt polegający na tym, co jest zapisane;
jak to jest możliwe gdzie to jest jak znika —

— Czy jestem upiorem — pyta panna Brönte — czy sama nawiedzam
przestrzenie własnej wieczności, jak duch;
ciągle przebywam oceany czasu
ale z nich się nie można przedostać
na jakiś ląd —

*

Z okna pokoju widzę teraz morze, oddycha spokojnie
nad nim całe miasto obłoków: granaty grafity wrzosy róże żółcie
i wielka pręga słońca po wodzie;
jest 17 sierpnia 2010, na imię mam Marta
i aktualnie jest jeszcze niedziela —

wrzesień 1998

Podziękowania dla Josepha Bediera, autora Tristana i Izoldy, oraz dla Francisa Forda Coppoli, reżysera filmu Dracula wg Brama Stokera.

Pierwszy domowy wiersz

Zmienna pogoda, mokra, liście przesycone wilgocią;
deszcz, opar w powietrzu, a zaraz potem
napada słońce — ale to światło blade
i ostre, niestabilne, wredne;
wtedy jestem zła i wółprzymna
nie zdążam się przystosować, ciśnienie niskie, szum we łbie;
wtedy mam nastrój depresyjny
albo destrukcyjny
i mówię mu:
 albo śpisz, albo jęczysz!

Drugi domowy wiersz

Dobra, tylko już nie pisz, już przestań
stawiać te zakręcone introwertyczne litery
co tak skrybiesz i drapiesz, uchodząc na tych
ciasno pozapelnianych dziesiątkach stron, tam
gdzie nie mam żadnej kontroli
ani nawet marnej reprezentacji, zdaje się, odpływając
cholera wie gdzie, gdzie cholera wie
jakie jest moje miejsce; już nie pisz
już ja popiszę.

1997

Trzeci domowy wiersz

Rany, ile ty masz na sobie:
sweter i czapkę i skarpety z szorstkiej owczej wełny;
i tak siedzi przy komputerze, do tego
ma włączony piecyk,
a to dopiero jest 15 września!

15 września 1998

O, kotek

Jakoś tam jestem zazdrosna, zazdrosna a jednocześnie
skrajnie niezazdrosna
chciałabym zobaczyć to wszystko
co mogłoby mu się zdarzyć, gdybym to nie była ja
gdyby mnie nie spotkał, gdyby inaczej się potoczyło
co wtedy: jakie osoby jakie tematy jakie słowa gdzie
jakie kolory jakie ubrania jakie wnętrza
na boga jakie wersje tego życia
które od lat już budzi się przy mnie
i mówi raczej mile zaskoczone:

o, kotek

listopad 1998

Pomiędzy

Tak stoi i stoi gapiąc się w okno
na ten plac gasnący w listopadowym zmierzchu;
nic nie widzi, wiem to, sama pamiętam ten widok, kiedy go nie widać
to szumiące ruchome tło wydarzeń, których nie ma
ale dzięki temu ruchowi wydaje się, że bardziej mogłyby być;
tak stoi i stoi i czas się w nim zatapia
jak w rozlewisku afrykańskiej rzeki o zachodzie słońca
brodzą w niej ptaki, stają, patrzą, mija wieczność, a one stoją;
i tak patrzy-nie-patrzy, przekraczając jak zawsze
swoim niezbyt jednoznacznym sposobem istnienia
granice pomiędzy *jest a da się pomyśleć*, pomiędzy
męskim a żeńskim, pomiędzy *w środku i na zewnątrz*,
pomiędzy *tęsknię a mam*; pomiędzy

pomiędzy

listopad 1998

Dziewczynka kra kra z zapalkami

Nie ma jeszcze czwartej, a niebo takie ciemne
tysiące ptaków odlatuje na noc; ponad szumem i światłami miasta
chamskie gołe *kra kra!* Gołe niegdysiejsze śniegi
w samym sercu teraźniejszości. I gdzie tu się ukryć
skoro pod wielkim sklepem znów siedzi dziewczynka i jedną
jedną zapalką
oświetla mrok. Chce widzieć, gdzie jest
a gdzie wiecznie przewiecznie *będzie* nie istniała. Jak ten
najszybszy z grupki *Homo erectus*, który wtedy w dolinie
pierwszy dopadł padliny, jak monsigniore, jak ona sama, kiedy już
ani *młoda genialna z rękami w kieszeniach*
jak w śróde, ani jak w sobotę: przestraszona niemłoda niemrawa.

Nic w ogóle. Znowu urodziny
kolejnego życzliwego boga. Z mądrości natury wynikał
zimny śnieg. Jakiś pan szanowny
rzucił jej do spódnicy nową paczkę zapalek. — *Masz
śmiertelna dziewczynko* — powiedział. — *Baw się.
Szukaj, aż się doszukasz. He he.*
Cóż, znów zapaliła zapalkę i było jej raźniej
w towarzystwie popiołu; popiołu, zawodzeń i błota.
Tyle pociechy z jednej
zapalki! Lecz w końcu była dzieckiem
z wyobraźnią. I miała swoje doświadczenia; 36 lat, powiedzmy, czy 56?
Ta postać istnienia nie imponowała jej, lecz coś z tego wynika. Nicóż.
Więc wstała, trzymając nad głową zapaloną zapalkę
jak jakaś statua wolności
bo co mogła zrobić —

styczeń-luty 1999

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest udostępniony na licencji *Licencja Wolnej Sztuki 1.3*.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/keff-nie-jest-gotowy>

Tekst opracowany na podstawie: Bożena Keff, *Nie jest gotowy*, OPEN Wydawnictwo Naukowe i Literackie, Warszawa 2000.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów autora. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Jan Szejko, Paulina Choromańska, Paweł Koziol.

ISBN 978-83-288-5211-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).